

Dekada Literacka

Kraków

26 I 1991 r.

Tygodnik

Nr 9

MIŁOSZ O LITWIE

Jan Prokop

Miłosz niejednokrotnie odwołuje się do swoich związków z Litwą. Ale szczególnie ważny pod tym względem będzie jego zamieszczony w *Zniewolonym umyśle* szkic pt. *Baltowie*. Wydaje się konieczne przypomnienie dzisiaj w dramatycznych momentach litewskiej historii, tego właśnie głosu, który zabrzmiał kiedyś w obronie zapomnianych przez cywilizowany świat narodów.

Ten szkic z lat pięćdziesiątych zaadresowany został do dość wyraźnie określonego odbiorcy — do zachodniego intelektualisty, słabo zorientowanego w zawiłościach wschodnioeuropejskich losów. By przekonać do owego kuszonego przez lewicową utopię czytelnika i przewymiarzyć jego opory wobec tematu Miłosz szuka jakiejś płaszczyzny porozumienia. Taką wspólną płaszczyzną będzie odwołanie się do okrutnej konkwisty, eksterminacji Indian amerykańskich przez Hiszpanów. Innym jeszcze momentem wspólnym będzie odwołanie się do akceptowanego w tym środowisku wyobrażenia o roli pisarza jako „głosu sumienia opinii publicznej”. Autor kreuje swoją figurę, swój obraz — zgodnie z siegającą XVIII wieku tradycją — pisarz jest rzecznikiem słabych, uciśnionych, niesprawiedliwie skrzywdzonych. Nie jest on tylko układaczem dźwięcznych lecz słabych słów, ale obrońcą wartości, w imię których warto ponieść najwyższą ofiarę. Dlatego tylko znajdzie on usprawiedliwienie.

Wiemy zresztą, że tak ongi czynił Wolter broniąc niesłusznie skazanego Calasa, tak za Drevfussem ujmie się Zo-

la w słynnym manifestie wyzywającym na ubitą ziemię cały francuski establishment polityczny, wreszcie tak, już w naszym wieku, głos w imieniu zagrożonych wartości zabierał będą Romain Rolland, Andre Gide, Tomasz Mann, czy Albert Camus. Specyficzna, uformowana w epoce oświecenia rola twórcy pretendującego do roli najwyższego autorytetu moralnego — gdy upadły kościół — do roli kogoś, kto daje świadectwo prawdzie, kto wygłasza mowę w obronie pokrzywdzonych, wreszcie osądza świat, będzie przez Miłosza podjęta z pełną świadomością.

Krzywdza pojedyncza

Miłosz nie ubiega się o status klerka zainteresowanego wyłącznie zwycięstwem czystej idei nad nieczystą rzeczywistością. Nie idea, nie ogólność abstrakcji, nie powszechność wydaje mu się szczególnie warta obrony, ale właśnie konkret bytów poszczególnych. To właśnie konkretne, jednostkowe doświadczenie, stanowi dlań punkt wyjścia. A zatem nie esencja, ale egzystencja. Nie ambicja zbawienia ludzkości w ogóle, ale krzywdza pojedyncza, zadana jednostce czy konkretnej zbiorowości wywołuje w nich odruch solidarności. Oto właśnie trzy małe narody, o których nie wie nic lub prawie nie świata opinia publiczna, ulegają wynarodowieniu i powolnej eksterminacji. Oto ludzie należący do zachodniej cywilizacji, w swoich obyczajach, troskach i zainteresowaniach podobni do nas, podobni do innych szczęśliwszych naro-

dów Eurovy padają ofiarą prześladowań ze strony barbarzyńców.

Miłosz wyraźnie podkreśla owo starcie się dwóch radykalnie odmiennych światów — Europy i barbarzyństwa ucieleśnionego w sowieckim imperium:

„Najazd Hiszpanów musiał być przerażającym doświadczeniem dla Azteków. Zwyczajnie zdobywców były niepojęte, obrzędy religijne niezrozumiałe, drogi, jakimi chodziła ich muś, nie do wyśledzenia. Inwazja Armii Czerwonej dla Estończyków, Łotyszów i Litwinów była nie mniejszym wstrząsem. Wprawdzie starsi ludzie pamiętali niewesołe czasy caratu — jednak to w niczym nie przypominało caratu, było stokród gorsze. W ciągu lat jakie dzieliły Rosję od upadku caratu, nie zbliżyła się ona do Europy, ale oddaliła — ku zasadom organizacji społeczeństw nigdy w Europie nie znanym”.

Swoje — i obce

Zapomniani przez wszystkich Baltowie należą do naszego kręgu kultury, są naszymi braćmi, różnią się zasadniczo od przerażającej dzikości tamtego sowieckiego świata, którego padli ofiarą. Swoje i obce pokrywa się więc z podziałem — Zachód — imperium sowieckie. Po jednej stronie dziedzictwo Europy, po drugiej — zrodzony z przerażającej, obłędnie „racjonalnej” „konieczności historycznej” system. To także podział na to, co ludzkie, a więc niedoskonałe, ułomne, cierpiące, pełne tajemnicy,

(DOKOŃCZENIE NA STR. 4)

Milan Rufus ma 63 lata, urodził się pod Tatrami i jest najwybitniejszym współczesnym poetą słowackim, eseistą i historykiem literatury. Tomem wierszy „Gdy dojrzejemy” rozbił w 1956 roku socrealistyczne schematy w literaturze słowackiej. W swojej poezji ostrzegał przed poddawaniem się presji ideologicznej, uleganiem pokusom cywilizacyjnym, rozluźnianiem więzów ze starą, rodzinną kulturą słowacką. Niezależny i samotniczy stał się autorytetem moralnym i miarą trudu intelektualnego twórcy. Wybór jego wcześniejszych utworów ukazał się w 1977 roku — pod tytułem „Wiersze” — w tłumaczeniu Danuty Abrahamowicz.

Milan Rufus

Historia

Mieczem nie orales, bracie mój.
Tylko plugiem.

A to jest jeszcze mało.
Dla tego świata, gdzie granica
jest bruzdą po mieczu
i po plugu.

Tę twoją
przekroczy dziecko
(i chomik, w siekaczach
wyniesie kłosek z twojego urodzaju).

A twoje wozy milczą.
Nie zieją
ogniem ani ołowiem.

W wiklinowym koszu
i tylko przy bezsilnym słowie
siałeś historię swojej krainy.

Aż narzyty człowiek.
Czy zbyt mało człowiek?
Niewinny. Tylko niewinny.

Z języka słowackiego tłumaczyła

Danuta Abrahamowicz

Tomas Venclova — w autokomentarzu

Tomas Venclova — ur. w 1937 r. w Kłajpedzie, wybitny emigracyjny poeta litewski, współtwórca litewskiego Ruchu Obrony Praw Człowieka. Od 1972 r. — na emigracji w Stanach Zjednoczonych.

Oto fragment wywiadu udzielonego przez poetę jesienią 1990 r. Całość ma się ukazać w 4. numerze „Tekstów Drugich”. Poniższą wymianę zdań „DL” uzyskała dzięki uprzejmości rozmówczyni T. Venclovy — Magdaleny Lubelskiej.



DL: M. L.: W Pańskim wspomnianym zbiorze wierszy „Rozmowa w ziemi” (Wydawnictwo Zeszytów Literackich, Paryż 1989) dają się rozpoznać dwa uniwersalne mity poezji — w literaturze polskiej ugruntował je romantyzm — mit wygnania i mit sztuki jako najwyższej powagi. Ale kiedy czytamy w „Świątce dziękczynienia”:

Dzięki za wszystko, za każdą odpowiedź,
Której nie dogna już bezsensny rozum,
Za nowy oddech i lęk wody nowej,
Za przyszłe trawy. I za powiew mrozu

Ponad trawami. Za grób w obcym kraju.
Za ciężar płyty, która na grób spadnie.
Za niebyt. Za to, że z niego powstaje
Byt za Twą sprawą. Jeśli tak zapragniesz.

to można powiedzieć, że Pański Odys nie tęskni do Itaki, że właściwie czuje się świetnie...

T. V.: No, nie świetnie. to i tragedia, i szansa zarazem. Poza tym to przecież ironia...

DL: — Gdy czytam w „Muzeum w Hobart”: „moneta historii ściera się łatwo” czuję ironię wprost. Natomiast Pański bohater, Odys a rebours, przeciwstawia się miłowi wygnania. Czy Pan chce, żeby to czytać ironicznie?

— I tak, i nie. To złożone. Posłużę się tu interesującą opinią jednego z krytyków litewskich, który napisał, że to są wiersze agnostyczne i religijne jednocześnie. Tak chyba jest, że tymi dwoma językami da się powiedzieć to samo. Innymi słowami: Bóg jest na tyle wielki, że jest nie tylko poza wszelkimi opozycjami świata — co od dawna wiadomo, ale nawet ponad opozycją istnienia i nieistnienia, bytu i niebytu. W tej perspektywie wszelkie sprzeczności muszą być do pogodzenia. Coś może być ironiczne i nieironiczne zarazem.

DL: — A jak w tym świetle przedstawia się drugi mit — przekonanie o najwyższej randze sztuki. Bo można myśleć, że jednoznacznie. Pisze Pan:

Tam, gdzie stolica zatacza swój krąg
I śnieg w pułapkę blasku oko łowi,
Gdzie mgła zaciera kształt i głośzy krok,
Pozostał jeszcze — dzięki Bogu — słownik.
Tam gdzie ratunek jakikolwiek był
Zawsze spóźniony w imperium widmowym,
Pustka — a może i najwyższa z sił —
Zsyła anioła: cud rytmu i mowy.

(CIAĞ DALSZY NA STR. 5)

JAK MOŻLIWA JEST POEZJA?

Nieformalny protokół z wieczoru młodego poety
ADAMA MICHAJŁOWA sporządzony piórem jego kolegi,
WALDEMARA PAĆLAWSKIEGO

Co dzieje się w najmłodszej — tej jeszcze nie posiadającej własnych tomików — grupie poetów? Co myślą i czego szukają w poezji, czego możemy się po nich spodziewać? W jaki sposób na pytanie odpowiada poniższy tekst.

Dnia 23 listopada 1990 roku o godzinie 18. w lokalu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Krakowie przy ulicy Kanoniczej, w obecności około trzydziestu osób, rozpoczął się występ anonsowany przez Zakon Zbraczy jako odsłonięcie konterfektu poetyckiego jednego z „braci” Krzysztof Koehler² otworzył spotkanie. W kilku zdaniach określił rodzaj nieświadomości co do zdarzenia, które przygotował Adam Michajłow³. Wygaszono światła. Następnie malarz Jerzy Witkowski uruchomił zdalnie obraz na dużym ekranie TV. Pojawił się tamże Adam Michajłow, ten sam, który zajął miejsce obok telewizora, twarzą do publiczności. Na ekranie, przedstawiając się jako poeta krakowski zapowiedział odczytanie kilkunastu krótkich wierszy z wydanych dotąd tomów⁴. Obraz przedstawiał na przemian zbliżenie twarzy (bez przerysowań) oraz plan konterfektu (de facto wizerunek powyżej pasa) Michajłowa. Prezentacja nagrania trwała około 12 minut, po czym Adam Michajłow powstał z biedermaierowskiego krzesła. Zapalono światło. Autor ubrany był w lekki garnitur stalowego koloru i jasną koszulę. Odczytał tekst z zielonej kartki⁵:

Najpierw oczywistości. Zasadniczo funkcjonują dwa sposoby pojmowania i praktykowania poezji. Albo poezja powstaje niemal z niczego jako dzieło poety dzięki sile jego kreacji, albo też poezja bytuje nieustannie i wszędzie, a poeta jest tym, który ją odsłania, przygotowuje dla niej miejsce, przenosi ją z obszaru możliwości w dziedzinie aktualności. Albo poeta jest twórcą i panem poezji albo jest jej pokornym, ale i godnym sługą. W pierwszym przypadku film należy uznać za mistyfikację, pastisz, ewentualnie mniej lub bardziej zabawną fałszywość, a jego bohatera za trefniaka, który podaje się za poetę i czyta nam hasła ze słownika⁶, nazywając je wierszami. (...) Przy pewnej ilości dobrej woli można w tym filmie dopa-

trzeć się i dosłuchać złośliwości pod adresem powszechnie uznanej formy poezjowania i bycia poetą. Poza tym nie poważnego. W drugim przypadku — kiedy poezja jest zastana a nie poezją — przynajmniej prawdopodobnie jest, że otrzymaliśmy coś więcej niż tylko chwilę rozrywki: doświadczenie poezji. Bohater filmu nie przedstawił nam poezji — czy to w ogóle możliwe? — ale otwierał wiodącą do niej drogę. (...)

Tymczasem światło zgasło po raz drugi i na monitorze pojawił się bohater — tym razem we wnętrzu jednego z krakowskich mieszkań. Na przedmiotach, które przypadkiem napotykał w pomieszczeniu, szczególnie zaś na stole, przeprowadził — w ma-

Michajłow oczekiwał „świecenia”. Zestawiając obok siebie dostępne na stole, „arbitralnie” znaczące imponderabilia, dodając swe głębokie twórcze zaangażowanie oraz para-naïwną, lecz wiarygodną czystą wolę, Adam Michajłow wyczerpał od tak zaistniałej maszyny efektu świecenia za pośrednictwem „podłączonych” dionią żarówkę. Ani jednak symbolicznie wysokoenergetyczne napięcie spięt feerii codziennie zużywanych skojarzeń, ani odwołanie się do najlepszej tradycji narodu, kultury powszechnej, a także żyjących autorzytetów moralnych⁸, nie przyniosło efektu oświecenia (choć w kadrze filmu wystąpiła paląca się żarówka w lampce po przeciwnym stronie stołu. Nareszcie bohater filmu, w akcie kontrolowanego oświecenia, postanowił zredukować podmiot i w ten sposób oczyścić kontekst, a może nawet poetycko zobjektywizować sytuację. Narzucił więc na głowę fragment prześcieradła. Redukcję podmiotu ponowił zasłaniając oczy. A jednak się nie świeci, nie świeci. Stwierdził, że jest mu przykro.

Adam Michajłow zaprosił następnie do rozmowy. W trwającej ponad godzinę dyskusji podjęto kilka prób interpretacji wystąpienia. Starano się podważyć integralność trzech części występu, co dla autora było nie do przyjęcia. Wyczerpano w zasadzie możliwości podjęcia oceny wydarzenia wedle ogólnych kategorii właściwych

nym budowaniem egotycznych makiet poetyckich, a służy pokornemu odsłonięciu poezji. Zupełnie nietajemniczy kult tajemnicy znika, abymy mogli stanąć twarzą w twarz z poezją. Wzruszenia, radości, zachwytu, trwogi i zadumy są tu wciąż obecne, ale przestają pełnić rolę surogatów poezji, która jest ponad nimi. Na koniec okazuje się, że poezja przestania samą siebie.

Wydaje się, że najbliższy dialog z artystą był profesor Balbus⁹ z UJ, który z zaangażowaniem szukał szansy na znalezienie nie tyle wyjaśnienia zaszłej sytuacji, co wzajemnego zrozumienia. Marian Stala milczał do końca.

Oto końcowy fragment tekstu Adama Michajłowa:

Albo kawał, albo poezja. Albo zanurzenie w kulturze, albo świadome w niej uczestnictwo. Albo możliwy kłopot pozoru poezji, albo dramat niemożliwości poezji. Albo tradycja jako postromeo, albo przeszłość jako skarb. I nie jest to żadna odmiana z odmian sędzięgo dualizmu¹¹. Przecież jedno zawiera się w drugim. Niestety nie można powiedzieć: „i na odwrót”.

*

Objaśnienia i uwagi

- 1) Nazwa grupy poetyckiej, przy której afiliowany jest krakowski oddział SPP.
 - 2) P.o. przeora Zakonu Zbraczego.
 - 3) Rocznik 1964.
 - 4) A. Michajłow nie wydał dotąd żadnego tomu wierszy.
 - 5) Tekst ten został udostępniony publiczności w 10 egz. Wydrukowany na zielonym papierze zajmuje środkową z trzech kartek spiętych zielonym lub złotym spinaczem. Na pierwszej stronie pierwszej kartki znajduje się rysunek nie dokończony prostokąta, na ostatniej rysunek prostokąta dokończony.
 - 6) Słownik Wyrazów Obcych PWN, pod red. prof. dr. Jana Tokarskiego, W-wa 1980. Adam Michajłow odczytał treść hasła: liany, Judasz, hamburger, hak i in.
 - 7) Imponderabilia — rzeczy nieuchwytnie, nie dające się zważyć, zmierzyć, dookładnie określić, mogą jednak oddziaływać, mieć znaczenie, wpływ.
 - 8) Białoczerwona chorągiewka symbolizująca — jak stwierdza bohater filmu — Polskę jest jednocześnie jedynym przedmiotem przetworzonym artystycznie. Papierowa kartka do połowy czerwona, wyżej biała, została wcześniej zgięta tak, że w geometrycznym środku chorągwi znalazł się wyraźny szpic.
 - 9) Czesław Miłosz i Jan Paweł II.
 - 10) Profesor Stanisław Balbus jest doktorem habilitowanym.
 - 11) Przez sędzięgo dualizm Michajłow rozumie siatkę obiegowych dystynkcji (np. fakt-wartość, poznanie-przeżycie, opis-ocena, wyjaśnienie-rozumiwanie, obiektywna prawda — subiektywny sens), które wyrażają pewien typ ontologicznej konstrukcji świata. Uznający taką konstrukcję człowiek musi mieć świadomość ograniczenia horyzontu możliwej orientacji w świecie i wiedzy o nim, jaki taki pogląd narzuca.
- (W. Kopalinski, Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych)

ADAM MICHAJŁÓW

JUDASZ

z Kariotu
jeden z dwunastu apostołów,
który zdradził Chrystusa za trzydzieści srebrników.
Człowiek
fałszywy, obłudny, zdrajca. Mały
otwór w drzwiach, najczęściej celli
więziennej, przez który
można zobaczyć, co dzieje się
po drugiej stronie
drzwi

(Słownik Wyrazów Obcych PWN)

terii potocznego języka polskiego — spontaniczny taniec intelektu z wolą kreacji. Ow odbity w języku taniec, przechodząc w namiętną szamotaninę, odbywał się na motywach następujących tematów: jedność materii, unifikacja rzeczywistości, ciągłość wrzechrzeczy, energetyczna komplementarność przeżycia z ekspresją itp. Do rangi imponderabiliów⁷ urosły następujące przedmioty: sznurek, kulka, blat stołu, puszka po farbie z przyrywką, dwie żarówki przezroczyste i jedna mleczna, papierosy „kapitan” w paczce oraz w postaci petów w blaszanej popielniczce, nożyczki stalowe, trzy papierowe chorągiewki (białoczerwona⁸, biało-żółta, biało-niebieska) i in. Dynamiką sfilmowanych zdarzeń zwinęła akcja w heroiczny akt budowy sensownej maszyny, od której

teorii literatury, antropologii kulturowej i teorii komunikacji językowej. O Bogu publicznie nie rozmawiano (na wyraźne życzenie Michajłowa). Adam nie zgadzał się przede wszystkim z samym faktem interpretacji, czyli zabiegu, w wyniku którego przyjmując się postawę zewnętrznego obserwatora.

Bohater filmu — czytamy dalej w odczytaniu przez Michajłowa tekście — nie przedstawiał nam poezji — czy to w ogóle możliwe? — ale otwierał wiodącą do niej drogę. Fakty, które z empirystycznego punktu widzenia chciały się mienić prawdą — teraz okazują się narzędziami, a prawdą świeci ich użycie. (...) Użyte konwencje związują się w kłębek ujawniając szczebel, w której ukazuje się poezja. Poezjowanie — przestaje być mozol-

Co nowego w prasie?

Ostatni nr miesięcznika ODRA przynosi m. in. blok tekstów poświęconych sytuacji kultury w Polsce w pierwszych latach powojennych i w okresie stalinizmu. Szczególnie miejsce zajmuje tu obszerna praca Jerzego Jastrzębskiego, który cytując obficie materiały z b. Archiwum KC PZPR ukazuje proces stopniowego organizowania przez komunistów kurateli nad życiem kulturalnym i sterowania twórczością. Proces ten rekonstruować można z oficjalnych przemówień, przede wszystkim jednak z b. licznych dokumentów dotyczących wewnętrznej działalności centralnych władz partyjnych: powoływania różnych zespołów do spraw kultury, rezolucji, wytycznych, analiz itd. Z cytowanych archiwaliów wynika, że te przygotowania rozpoczęły się już z początkiem 1947, wyrzedzając o ok. 2 lata praktyczną reali-

zację partyjnego nadzoru nad kulturą i definitywny koniec względnego liberalizmu w tej dziedzinie. Odbywało się to nie bez oporów. Autorzy analiz skarżyli się m. in., że nawet „spośród poważnej liczby czynnych artystów i pisarzy — członków PPR, znaczna większość nie wykazuje dotąd jakiejś uchwytnej aktywności i ideologicznej. Kłopotów przyczyniały także związki twórcze, którym „nie towarzyszy dostateczna świadomość obowiązków i zadań stojących dzisiaj przed twórczością kulturalną (...) obecny stan rzeczy doprowadził ostatnio do zjawisk zupełnie niedopuszczalnych z punktu widzenia szerszych interesów państwowych.

W tym samym numerze w bardzo ciekawym artykule „Realizm jako demagogia” Michał Głowiński zastanawia się nad związkami socrealizmu z klasycznym XIX-wiecznym rea-

lizmem: Splot tych trzech czynników: mimetyczności, autorytatywnego komentarza odceniającego oraz zatajania literackości stał się podstawowym wyznacznikiem klasycznego realizmu (...) Ow splot pozwalał (w socrealizmie, przyp. J. L.) na uprawianie pewnego typu propagandy (...) mającej udawać, że propagandą nie jest, że stanowi mimetyczną wizję świata, odwołującą się do znanej czytelnikom z codziennej empirii rzeczywistości, i że przedstawia ją w perspektywie zdrowego rozsądku. (...) Socrealizm jako projekt propagandowy jest na swój sposób koncepcją genialną. Ale też skrajnie demagogiczna, bg świat zinterpretowany do najmniejszego szczegółu każe traktować jako odbicie tego, co istnieje, a sensy ideologiczne podsuwa czytelnikowi jako sprawozdania z rzeczywistości. (...) Wypracowana przez XIX-wiecznych realistów forma narracji powieściowej miała uwierzytelnić i legitymizować w oczach naiwnego czytelnika tę wizję świata, która od początku do końca była propagandowym nadużyciem.

Z tymi publikacjami koresponduje swobodny esej Stefana Kisielewskiego pt. „Sztuka jako instrument historii” zamieszczony w ostatnim, 16. numerze świetnie redagowanego

miesięcznika POLITYKA POLSKA. Przekorny jak zawsze autor ukazuje mniej ponure strony życia kulturalnego w latach 40.: mienat władz w stosunku do pisarzy, stwierdza też, że powstało w tym pierwszym okresie szereg wręcz znakomitych pozycji beletrystycznych, które, choć dziś zapomniane, na pewno w literaturze polskiej pozostaną (...) trwała epoka przejściowa, borejszowsko-kurylukowski liberalizm... Nieco inaczej widzi także presję socrealizmu: E-

stetyka normatywna socrealizmu miała swoich rzeczników, teoretyków, filozofów, miłośników i — wbrew temu co się dzisiaj sądzi — przeważająca ich większość działała z przekonania, ba, częstokroć z entuzjazmem, przynoszonym przez megalomańskie poczucie posiadania. Szczególną uwagę poświęca autor ówczesnej sytuacji w muzyce, gdzie z racji jej specyfiki socrealizm przybierał postać najbardziej absurdalną.

J.L.

Niepolitycznie o polityce

W poprzednim numerze „Dekady” mój redakcyjny kolega Jan Prokop wypowiedział się w tym miejscu na temat gen. Jaruzelskiego i płk. Kuklińskiego. Uważam za konieczne wyrażenie następujących uwag do tego tekstu:

Jan Prokop twierdzi, że generał wprowadzając stan wojenny wykonywał tylko obcą wolę i nigdy nie zdobył się na sprzeciw wobec mocodawców. Możliwe. Ale publikowanie takich stwierdzeń nieudowodnionych (a dowodów, jak dotąd, brak) nieprzystoi humaniście. Historia często korygowała opinie, tworzone w warunkach doraźnych emocji.

Porównanie Kuklińskiego z Trauguttem to sprawa osobistego smaku. Ale jest wątpliwość natury obiektywnej: Traugutt, oficer armii carskiej, pracował na rzecz „strony przeciwnej” absolutnie bezinteresownie. Czy na pewno można powiedzieć to samo o płk. Kuklińskim?

JERZY LOHMAN

Oto ostatni fragment powieści J. Krasieńskiego „Na stracenie”. Poprzednie odcinki drukowane były w numerach 5. i 8. Tytuł fragmentu pochodzi od Redakcji. Całość ukaże się nakładem Wydawnictwa Versus w Białymstoku — a nie w PIW, jak podaliśmy w nr 5.

JUŻ NIEDŁUGO

Ianusz Krasieński

Likwidowano oddział Zapory bez zbytecznego pośpiechu. Przetrzymany gdzieś w piwnicznych celach wyprowadzano co noc, dwóch lub trzech, w parogodzinnych odstępach i nikt nawet nie wie, w jakiej kolejności. Nawet student Kalicki nie miał już odwagi czatować przy oknie. Zza krat cuchnęło mordem. Każdą egzekucję poprzedzało wkroczenie specjalnego patrolu, który bojowym szykiem otaczał pawilon i z wymierzoną w okno bronią trwał nieruchomo na posterunku aż do stracenia skazańców. Pomury ten patrol zjawiał się dwa, trzy razy w ciągu nocy i wiadomo już było, że przynosi ze sobą zapowiedź następnej śmierci. Szymon wraz z innymi budził się na odgłos jego kroków z potwornym ciężarem na piersi i z ómiącym pod czaszką bólem nasłuchiwał odgłosów zaciągania specjalnej warty, a następnie przemarszu nocnego rontu. Nieregularność oraz pewien zamęt w wybijaniu marszowego rytmu pozwalał mu domyślić się, że prowadzą z sobą oślepiętego śmiertelnym kapturem. Czasem dawały o tym znać przekleństwa. Padaly wówczas, gdy któryś z idących na stracenie stawiał nadmierny opór. Który... nigdy nie było wiadomo. Więc może dlatego najbardziej utkwilo mu w pamięci to wydarzenie w korytarzu.

Kiedy to ten najmłodszy z oficerów wleczony nago przez oprawców wzywał na ratunek matkę i błagał o życie tak po dziecinemu, za wszystko przepraszając, a major Zapora także zupełnie obnażony wykrzyknął: — On sam tam pójdzie! Pozwólcie mu się tylko ubrać, szubrawcy! — A do tego chłopca: — Zolnierzu, strzaleś i wiesz, co to kula w łeb. Wstań! Oni ci nie więcej zrobić nie mogą. Potem splunął w twarz najbliższemu z oprawców: — Krótka tu waszej władzy, stalinowskie pacholki! Polska was osądzi! — Oplwany rzucił się na niego i pewnie by go sponiewierał, gdyby nie oficer inspekcyjny.

— Zostawcie go — powiedział. — Kula za wszystko mu wystarczy. Zmiana miejsca wisiała w powietrzu. Udało mu się jeszcze zobaczyć Krystynę. Szczęśliwy przypadek, spowodowany jakimś organizacyjnym błędem w dniu, w którym wyprawiano ich w transport. W drodze do łaźni, gdy oślepiętych dziennym światłem, odurzonych świeżym powietrzem przeprowadzano przez więzienny dziedzińiec, zza narożnika wyloniła się inna grupa wracających z kąpieli. Były to kobiety. Z ręcznikami na głowach, z gołymi nogami wsuniętymi w przysięgnięte na piętach pantofle, w cywilnych kolorowych ubraniach, ale wyblakłe i szare, ze szmatkami rumieńcami od gorącej pary — szły wyniszczona i nędzna. Służbiste, sztywno kroczące przy nich strażniczki na widok wychodzących zza węgla mężczyzn wpadły w niepojęty popłoch. Poczęły krzyczeć do strażników, ażeby natychmiast cofnęły więźniów, a ci z kolei uniesieni gniewem posyiali je do diabła i żądali, żeby zrobiły to samo z więźniarkami. Zadana ze stron nie poczuwała się do odpowiedzialności za to niedopuszczalne naruszenie regulaminu i nie miała najmniejszego zamiaru ustąpić przed drugą. Szły więc dalej zbliżając się do siebie, lecz tak jak dwa końce odpychających się magnesów spędzani w bok przez strażę usiłującą utrzymać możliwie duży dystans w czasie mijanki. Tymczasem po obu stronach poczęto rozpoznawać twarze. Co za niezwykłe spotkanie! Dwie cele politycznych! Męscy i żeńscy antypaństwowcy! Rozległy się radosne okrzyki: „Pan! magister! Basiu! Andrzej! Panie profesorze!” Z gwałtowną serdecznością wymachiwano rękami, przekazywano sobie skrótove informacje o zdrowiu, aresztowaniu lub śmierci najbliższych. Straże niecierpliwie nawoływały do przyspieszenia kroku. Wtem z tłumu kobiet wybiegły dwie uliczne dziewczuszki, zadartły kiecki niemal pod brodę i gibając wyzywająco biodrami jęły przywoływać ochryplym głosem wśród obcego im środowiska rozpoznanych złodzieiów. Szczęśliwi rozpoznani, jak różdżki podrywające się na widok wody, z wulgarnymi słowami i nieludzkim wyciem rzuciły się ku nim rozpinając po drodze rozporzki. Nikt poza rozwścieczonymi strażnikami nie zwracał na nich uwagi. Trzeba jednak przyznać, że swą nieprzepatą chucią przelamali szyki i jakby dali sygnał do przemieszania się tłumów, które nagle runęły ku sobie. Wreszcie i Szymon dostrzegł Krystynę. Miała na głowie ręcznik zawiązany tak, że ledwie widać było jej twarz i choć od dłuższej chwili dawała mu znaki, nie poznawał jej, a słaby jej głos ginął w ogólnym tumulcie. Teraz skoczył jak szalony. Usłyszał za sobą przekleństwa klawisza i rozdzierający wrzask strażniczki lecz obojętny na wszystko, co działo się wokół, chwycił Krystynę w objęcia. Przygłgnęła do niego całym ciałem. Turban ręcznika zsunął się jej z głowy, opłóła mu rękami szyję. O, Aniołku!... Poczuł na policzku jej ciepły oddech i mokre od kąpieli włosy. Cmal nie pokaleczyli sobie ust zębami.

— Szymek, nie poznałeś mnie? Tak się zmieniłam? Wiem, wyglądam jak szczur

— Ale co ty?!... Co ty mówisz, Aniołku?! To tylko ten ręcznik... Kocham cię! Pewnie nas dzisiaj wywożą.

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

— To nic, to nic, wrócisz. Zobaczmy się. Już niedługo! (...)

— Co za szczęśliwy traf — powiedział pan Andrzej, kiedy siedzieli ścisnięci w budzie więźniarki wiozącej ich przez zastopięte przed ich wzrokiem miasto.

— Udało mi się zamienić kilka słów z moją córką. Wyobraź sobie, miałem z nią straszne kłopoty w przedszkolu. Dostawała hysterii, kiedy zamykano za nią furtkę. A ten bolszewicki pierdel znosi znakomicie! Ma na imię Wanda — dodał po chwili zamyślenia Szymon w milczeniu skłaniając głowę. Nie mniej głęboko przeżywał to niezwykle spotkanie i nie mniej był rad, że Krystyna również dzielnie znośła swój wyrok, tajoną boleść matki i parszywe szykany (...)

Krótką historia Nagrody im. Kazimierza Wyki

Wkrótce po śmierci prof. K. Wyki środowisko literackie Krakowa, konkretnie zaś zarząd oddziału ówczesnego ZLP, zaczęło myśleć o ustanowieniu nagrody krytycznej jego imienia. Nie ulegało dla nikogo wątpliwości, iż należałoby w jakiś trwały sposób zapisać w polskim życiu umysłowym nie tylko nazwisko profesora, ale przede wszystkim ten zespół wartości humanistycznych i krytycznych, które reprezentował, wartości niezależnych od politycznych koniunktur i personalnych rozgrywek. W roku 1980 udało się przy współudziale prezydenta m. Krakowa, zamiar ten zrealizować. Laureatami dwóch pierwszych nagród zostali: Jerzy Kwiatkowski i Jan Błofski i zasad-

ność tych kandydatur nie podlegała nigdy żadnej dyskusji. Natomiast po stanie wojennym i rozwiązaniu ZLP zaczęły się dziać z nagrodą rzeczy skandaliczne, a jednocześnie dla owych lat typowe. Nagrodę przywłaszczyl sobie spokojnie ZLeP (czyli nowo związki podszywający się pod kompetencje rozwiązanej) i rozpoczął różne manewry oczyszczające pole działania. Powołał nowe, kuriozalne jury i zaczął szczerze przyznawać nagrodę osobom, o których nikt wcześniej by nie pomyślał, iż są spadkobiercami sztuki pisarskiej Wyki. Nagroda zaczęła tracić swój prestiż, aby stać się lokalną inicjatywą urzędników od kultury i pozostałych na pla-

Tymczasem samochód przystanął i otworzono wiaz. Dzień był chłodny i wietrzny. Niebem gnały niskie jesienne chmury, pokrapiał skąpy deszcz. Kiedy wychodzili z budy, na moment przebiło się czerwone słońce. Nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Peryferie jakiegoś dworca. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że to dawny towarowy... Wyszadono ich przy ostatniej bocznicy, gdzie czekający konwojenci natychmiast otoczyli ich zwartym pierścieniem. Młody podoficer o ponurym wejrzeniu uderzywszy dlonią w bęben pepeszy powiedział, że w razie próby ucieczki będą strzelać bez ostrzeżenia, po czym ruszyli wzdłuż toru. Na dalszych peronach stały gromady ludzi czekających na pociąg. Dawny Dworzec Główny leżał w gruzach. Stąd to tłuny siedzących na tobołach z podniesionymi kołnierzami, rozmiękłymi daszkami gazet na głowach i gdzieś tam rozpiętymi parasolami. Stary dworzec towarowy... Przypomniało mu się, że był tu w pierwszych dniach września trzydziestego dziewiątego... Strzegli z harcerską drużyną nie mających już dokąd odjechać pociągów przed niemieckimi dywersantami. Miał wtedy dziesięć lat i to szczęście, że nie spotkał żadnego z nich. Zapamiętał jedynie jakiś transport surowych bydłychych skór z nie odciętymi łbami, martwe ślepia i rogi krów cuchnące we wrzesniowym słońcu oraz długi skład wagonów z kamienią kostką na bruki. I serię bomb. Bomb, które na szczęście wybuchyły po drugiej stronie tego składu, tuż tuż... ale jak za barykadą. Ocalało mu to życie. A, i jeszcze swój sandał. Pękł w nim pasek, więc na wpół bosy biegł po potłuczonych szybach zbombardowanego miasta. Tak tu się wszystko zaczęło. Od tej serii bomb. Przeminał Hitler, przyszedł Stalin i on znowu jest na tym dworcu. Nie słychać pykania zenitówek, nurkujących stukasów, detonacji, ani krzyku rannych. Są tylko mundury. Takie same jak wtedy, lecz jakby obce, wrogie spojrzenie i pepesze. Nie uciśnie tym razem z sandałem do domu. Nie wróci choćby do jego gruzów po odłamkach szkła. Dworzec towarowy... Wszystko się tu zaczęło: wojna, gestapo, powstanie, klęska, zwycięstwo i NKWD. Jego miasto... Jego miasto od lat wydane na łup najciemniejszym mecom historii! Wrócił z niemieckich łagrów do jego ruin, do strzaskanych wojną parków, do odradzającego się życia na tej kamiennej pustyni, by na krańcach ocalałego dworca wsiąść w ten czekający na niego więzienny wagon. Piętnaście lat! Nie... już tylko czternaście Kropi deszcz, mokro... idą dwójkami.

— Równać! Równać! Po dwóch!

W pierwszej dwójce pułkownik Lipiński i Zenek. Żywa historia legionów i nadzieja polskiej matematyki. Czy dostanie się znów do jednej celi z kimś, kto potrafi powieść go dalej po niezmiernych drogach galaktyki, liczb, którym oddał swą duszę? Czy idący z nim ręką w rękę stary pilsudczyk stanie kiedyś przed niezależnym sądem, aby jako świadek egzekucji zeznać na okoliczność zdrady, której ofiarą padł oddział majora Zapory?

— Naprzód! Naprzód! Nie rozglądać się!

Dalej góral i dwóch innych kwatermistrzów. Chłopi z dziada pradziada, ziemię ich zarosną chwasty. Do czego wróca, jeśli wróca, po piętnastu latach? A ten co się rozgląda... Kalicki... Wierzy w to, w co nikt nie wierzy, że wyciągną go Żydzi, którym uratował życie. Może i tak, a co dalej? Studia? Tytuły naukowe?... Czy nie przepowiedział sobie sam, że nawet gdyby, to nie ma żadnych szans? Za nimi kapitan Ryszard Krzywicki i redaktor Obarski. Dwa przeciwne bieguny polityczne. Idą w nogę. Pismo. Czy powstanie kiedy prawdziwe robotnicze pismo, gdzie uparty socjalista będzie mógł wyrazić spóźniony protest przeciwko moskiewskiemu procesowi sekretarza swojej partii Kazimierza Pużaka i innych członków Delegatury Londyńskiego Rządu, którzy bądź zginęli na Lubiance, bądź siedzą ponownie w ubeckich kazamatach? Już niedługo. Ile to jest, niedługo? Rok, półtora? No, niechby dwa. Więcej może adiutant trzech dowódców AK doczeka chwili, kiedy będzie mógł wystąpić o pośmiertną rehabilitację swego przyjaciela Witolda Pileckiego, którego oświeceniście gestapo mogłoby spokojnie przekazać w ręce polskiego sądu, aby wydał go кату. Może odnajdzie ten dół i wreszcie rodzina będzie mogła zabrać zwłoki?

— Milczeć! Milczeć! Nie rozmawiać! Co to, ksiądz?! I książeczka do nabożeństwa?...

Książka Kazimierz przyciska łokciem swój nieodstępny brewiarz. O czym myśli idąc przygarbiony z łufą pepeszy konwojenta ocierającą mu się niemal o biodro? Czy odprawi kiedy spóźnioną mszę za dzieci Zamojszczyzny i za dwunastu partyzantów oddziału Zapory przed wyjściem na ten duch nac, którym ksiądz... powierzył mu swe dusze, aby jak prawnik wziął je w obronę przed Bogiem?

— Maszerować! Nie przystawać!

To do pana Andrzeja, szefa akowskiego wywiadu więziennego, wiecznego konspiratora i najsprawiedliwszego sędziego największych ludzkich zbrodni... Czy będzie mógł dać kiedyś publiczne świadectwo temu, co zrobiono przed śmiercią ze zbrojem Kuzma? Czy będzie mu wolno głosić to, co budziło taki sprzeciw i oburzenie całej celi, że przyszłe niezawisłe prawo dla obecnych zbrodniarzy nie powinno znać pojęcia kary śmierci? A wreszcie on sam, Szymon, jeśli wróci po piętnastu latach, czym będzie dla tej wielkiej niewiadomej jaką jest naród? Dla otoczenia? Ofiarą zleniawidzonego systemu, czy parszywym niedobitkiem czarnej rakieli?

— Dalej, naprzód, karły zapłute!

Czerwone słońce przeświecało przez chmury, lecz deszcz zaczął coraz gęściej. Konwojenci zbaczają czasem z drogi, omijając światłem zachodu jakby krwią zabarwione kałuże. W dali ten wagon. Na podkładach pobliskich torów kilku kolejowych robotników w poplamionych smarem kombinzonach wymienieli szyny. Gdy konwój zbliżył się, nieznacznie unieśli głowy szepcząc coś między sobą. Śmielszy z nich stuknął kluczem w żeliwny łeb zwrotnicy:

— Ej!

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Uderzył raz jeszcze kluczem, a kiedy konwój mijal ich, zawołał:

— Panowie wojsko! Kogo tam prowadzicie?!

Wtedy podoficer, ten co zapowiadał, że będą strzelać bez ostrzeżenia, poprawił na ramieniu pasek pepeszy i odwrzasnął gniewnie:

— Folksdojczów i esesmanów!

Szymon czuł, że krew zalewa mu oczy. Usłyszał jak kapitan Ryszard krzyknął z wściekłością. „Nie lżyj, ty szubrawcu!” I coś jeszcze, ale tego już nie dosłyszał, bo nim zdążył pomyśleć, na co się naraża, ryknął na cały głos:

Kapacka Brygada, do domów, do chat...

Do Polski idziemy przez cały świat.

Chyba tam na szynach ktoś zaklął. Zagnano ich w pośpiechu do wagonu.

cu boju literatów, pragnących wyka-

zać się odpowiednią aktywnością. Chcielibyśmy dzisiaj przywrócić tej nagrodzie należne miejsce w życiu umysłowym naszego miasta i Polski. Wydaje się, iż jeden z najwybitniejszych krytyków powojennych zasługuje na to, aby chronić jego nazwisko i honorować nim najwybitniejszych adeptów krytycznego zawodu. Wyjaśnienie to dotyczy problemu ogólniejszego i dlatego między innymi zostało napisane.

Wiele podobnych spraw wydarzyło się w latach stanu wojennego, zaś je-

żeli ich nie przypomnieć, następne pokolenia będą święcie przekonane iż Marian Stępień czy Leszek Bugajski byli kontynuatorami myśli krytycznej Wyki, zaś Jacek Kajtoch i Ryszard Kłysz w roli jurorów jej dyspozytariuszami.

Mamy nadzieję, że nagroda ta stanie się na powrót taką, jaką była w zamierzeniu jej inicjatorów: honorująca pozycję i osłonięcia intelektualne niezależne od jakichkolwiek koniunktur.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział w Krakowie

MIŁOSZ O LITWIE

(DOKONCZENIE ZE STR. 1)

mroku ale i światła — i to co wynika z żelazną konsekwencją z Rozumu Historii, z wizji Doskonałej Przyszłości, z „racjonalnej” Utopii.

Ułomność konkretnego ludzkiego istnienia zderza się więc z rzekomą Absolutną Doskonałością. Egzystencja przeciwstawia się esencji. Realność tego co jest czystością Idei. Oto dotykalna konkretność losu kilku milionów ludzkich istnień, owe trzy małe narody bałtyckie, Litwini, Łotysze, Estończycy, które giną pod kołami historii realizującej doskonałą Ideę. Tutaj tkwi ostrze polemiczne wymierzone w komunistyczną Doktrynę. Po stronie Doktryny jest — zdawałoby się — przewaga argumentów. Zniewolony umysł bowiem, to na pozór przyjęcie jako normy mowy zwycięzców. Ich racje zdają się wygrywać. Miłosz z subtelną ironią sam mówi mową zwycięzców, skłania się jak gdyby przed ich siłą. Oto Dialektyka porządkuje świat zgodnie ze swoim regułem. Ona kontroluje język, poko-

nany zaś słowo zostaje odebrane. Oto cytat:

„Zadnych okrucieństw się nie popełnia. Zabija się tych, których trzeba zabić, torturuje się tych, od których trzeba zdobyć zeznania, deportuje się grupy, które trzeba deportować. Jeżeli łatwo giną przeniesieni w obce sobie warunki, to wina klimatu, ciężkiej pracy i niedostatecznego odżywiania — a tego nie można zmienić na obecnym etapie. Trudno żądać, żeby kraj, który dźwiga na sobie tak wielkie postannictwo, zapomniał swoich więźniów tak jak Anglia swoich żołnierzy. Możliwe, że nie umieraliby wtedy tak prędko, ale ich praca przestałaby się opłacać... Wywód powyższy nie jest pozbawiony godnej podziwu dalekowzroczności... Trudno zaprzeczyć słuszności wielkiego planu... Jedynym kłopotem jest pacjent, który wyrzyka się i krzyczy.”

Mamidło epoki

Tu uwaga historyczna: w latach pięćdziesiątych, przed śmiercią Stalina, komunizm jawił się w oczach zachodu jako siła wstępująca, to on wygrał wojnę, to on stanowi przyszłość świata. Ta wizja dla jednych pełna nadziei, u drugich — w tym u Miłosza — budząca apokaliptyczną grozę dziś wydaje się nam szczególnym mamidłem epoki. Ta atmosfera tłumaczy jednak, dlaczego Miłosz swoje indywidualne racje przeciwstawione komunizmowi wciska niejako w szpary oficjalnego dyskursu zwycięzców. Wszechwładza tego dyskursu kwestionowana jest układem, ambiwalentnością ironii, kontrargumenty są wysuwane nieśmiało, z pozycji „przegranych” jak gdyby druzgocąca przewaga była po drugiej stronie. Oto zwycięski Słoń Historii i prawie niedosłyszalny głos protestu rozdeptywanej przez niego jednostki:

„Jeżeli będziesz ciągle myślał o tych swoich Bałtach i

o obozach, to wiesz co się stanie?” — zapytał mnie w Warszawie mój przyjaciel od niedawna wielbiący bez zastrzeżeń mądrość dialektyczną Centrum. „Przeżyjesz swój wiek i staniesz przed obliczem Zeusa a ten wyciągnie do ciebie palec” — tu mój przyjaciel zrobił groźny gest palcem wskazującym i krzyknął: „Idiota! Zmarnowałeś życie na zajmowanie się głupstwami!” To prawda, że trudno mi wyzwolić się od myśli o Bałtach. Coś niecoś mogę jednak powiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Zajmowanie się losem narodów, ciałami których podeptał Słoń Historii, świadczy o usposobieniu sentymentalnym i nie prowadzi na ogół do niczego — z tym mogę się zgodzić.”

W obliczu przeważających wówczas wpływów stalinowskiego marksizmu w wielu środowiskach intelektualnych Zachodu Miłosz niejako usprawiedliwia się, że występuje w roli rzecznika tych, co przegrali. Przemawia z pozycji — taki był niestety klimat lat pięćdziesiątych — ponoszącego klęskę orwellońskiego bohatera Roku 1984. Tyle że tamten heroicznie bronił przed manipulacją i relatywizowaniem Prawdy kler-

ka, prawdy oderwanej. Miłosz broni prawdy doświadczonej, prawdy świadka, który widział zbrodnię. Gotów jest cierpieć za tę dotykającą prawdę. Nie wolno mu milczeć. Gdyż nie wolno milczeć poecie.

„Moja relacja o krajach bałtyckich nie jest zaczerpnięta z książek czy pism. Pierwsze światło, jakie widziałem w życiu, pierwszy zapach ziemi, pierwsze drzewo — były światłem, zapachem i drzewem tamtych okolic — ... wydarzenia te są dla mnie tak żywe, jak żywe jest tylko to, co czyta się z twarzy i oczu dobrze znanych nam ludzi.”

Jednostkowe ludzkie doświadczenie, „naoczność” są więc przeciwstawione jako jedyny, ale decydujący argument perswazyjnej sile dialektycznych abstrakcji. Żywy świadek historii, ten który dotknął jej ran, nie da się zwięźć mamidłem i urojeniom doktryny wysmażonej w racjonalistycznym kotle. Tylko gdy zawierzmy konkretnemu ludzkiemu doświadczeniu, ustrzeżemy się szaleństw Utopii.

JAN PROKOP

• Telewizja • Telewizja • Telewizja • Telewizja • Telewizja • Telewizja • Telewizja • Telewizja •

„I ty zostaniesz Cristel Carrington”

Stanisław Stabro

„Dynastia” jako życie duchowe współczesnej Polski, niedawno zakończona emisja serialu „Santa Barbara” jako przystawka do „Telewizji śniadaniowej”. (Dlaczego nie do „Telewizji przy śniadaniu”? Czy TVP musi wciąż upowszechniać potworki językowe?) Tasiemcowe seriale, dyskretny urok katyńskiej martyrologii wykorzystywanej obecnie jako nowy sposób manipulowania zbiorowymi emocjami. Kombatantkie rytuały o solidarnościowym rodowodzie. Ustawiczne relacje z procesji i nabożeństw. Audycje polemizujące z tym modelem „kultury” spychane na nocne godziny, kiedy większość już śpi. O telewizji długo jeszcze można by w ten sposób.

Ale rzecz jest poważniejsza, niż wydawałoby się to milionom zwolenników wewnętrznie rozchwianej Falon. Telewizja występuje tu po staremu w roli Wielkiego Uwodziciela, stwarzającego, jak za dobrych, starych czasów nieodżałowanej „komuny” (ach, co to będzie jak skończy się ten chłopiec do bicia!) iluzję rzeczywistości. I, być może, wszystko byłoby w porządku, gdybyśmy byli w trochę innej sytuacji bogatego i ustabilizowanego społeczeństwa, które stać na umysłowe fanaberie. Wszak trudno wymagać od tej instytucji służącej w teorii i w praktyce głównie manipulacji społecznymi nastrojami, programów np. o filozofii Marka Aureliusza. Chociaż, swoją drogą, trochę stoicyzmu „filozofa na tronie” wszystkim nam bardzo by się teraz przydało.

Zabójczy sens tego rodzaju seriali jak „Dynastia” polega na tym, że redukuje one istotne zagadnienia psychologiczne i społeczne do poziomu zunifikowanej kultury masowej. W kulturze tego rodzaju wielkie mity i wzorcowe schematy fabularne zostają poddane specyficznej obróbce. Rządzi nią zresztą podstawowa sprzeczność zdefiniowana przez Edgara Morina jako konieczność produkowania towaru zindywidualizowanego. Znajduje ona rozwiązanie w strukturze świata wyobraźni załudnionej archetypami, mitami i powtarzalnymi wątkami. Umożliwia to standaryzację dzieła, posługiwanie się przez twórcę gotowymi elementami, sprawdzonymi schematami, zakorzenionymi w podświadomości zbiorowej. Niby wszyscy o tym wiemy, mamy teoretyczną świadomość tych mechanizmów, ale czar Wielkiego Uwodziciela jest silniejszy, niż głos rozsądku.

W bardzo ograniczonym kręgu bohaterów „Dynastii” mamy przecież do czynienia z prawie wszystkimi wariantami mitów, którymi żywi się europejska kultura. Są to odpowiednio spreparowane motywy dożgonnej miłości i wiary, potęgi i chwały, wierności aż po grób i sprawiedliwej, aczkolwiek podstępnej zemsty. Nieumiejętność oderwania się córki od rodziciela, zresztą z wzajemnością, paternalistyczne stosunki w rodowej posiadłości, gdzie autorytarny ojciec kontroluje oraz ubezwłasnowolnia wszystkich i wszystko. Stara się przy tym decydować oczywiście nawet o szczęściu osobistym swoich dorosłych dzieci. Nie brak także skandalizujących momentów obyczajowych. A zatem Cristel okazuje się bigamistką, Steve homoseksualistą, scenarzysta wprowadza motyw kidnapingu, równoważąc go wątkiem odnalezienia się ukradzionego kiedyś syna. Zmaskulinizowane kobiety dzielnie wydzierają majątki kolejnym mężom, również na łożu śmierci, a dzięki fantastycznej swobodzie obyczajowej „każdy z każdym ma dziecko”.

I takie infantylne domino różnych wątków i schematów fabularnych, zaczerpniętych z najróżnorodniejszych parafraz, taką karykaturę „amerykańskiego snu” o bogactwie i wolności, polska telewizja serwuje obecnie milionom widzów jako wzór kultury, nie tylko zresztą amerykańskiej, pauperyzując przy okazji zbiorową wyobraźnię. Podobnie jak poprzednio, telewizyjny przekaz ma nadal nieść ze sobą wyreżyserowany na wielu poziomach obraz rzeczywistości. Współczesna baśń, wykorzystując cynicznie mechanizmy projekcji i identyfikacji widza z bohaterami serialu ma po staremu izolować publiczność od autentycznych problemów rzeczywistości. Nieść ulgę i pocieszenie „po trudach dnia”, stwarzać złudzenia pt.: „I ty zostaniesz Cristel Carrington” za cenę kilkunastu wystudiowanych grymasów twarzy i znalezienia bogatego męża.

Edgar Morin w „Duchu czasu” podkreślił, że w kulturze masowej „dalekie są mity wielkiego ucześnictwa i blisko fascynujący nurt szczęścia”. Nad „katharsis” charakterystyczną dla wielkiej sztuki bierze górę jej funkcja ludyczna i kompensacyjna. Wspomniana projekcja i identyfikacja odbiorcy z bohaterem odbywa się za pośrednictwem standardowej fabuły, kończącej się „happy endem”. Różnica pomiędzy tymi dwoma rodzajami kultury wyraża się w konflikcie dwóch domen: Wielkich Wartości i Wielkiego Urlopu.

I właśnie z tego punktu widzenia kultury Wielkiego Urlopu, uchylającej odpowiedzialności jednostki i społeczeństwa za swój indywidualny i zbiorowy los, jest coś przerażającego w tej powszechnej akceptacji „oper mydlanych” w rodzaju „Santa Barbara” i na przykład „Dynastii”. W powszechnej intelektualnej fascynacji poetyką komiksu, z którą musi przegrać autentyczna kultura. Ileż razy w końcu można oglądać prawie nie różniące się pomiędzy sobą warianty miłości i przemocy, dobra i zła, wierności i zdrady w takim właśnie opakowaniu. Wszak od czasów Sofoklesa i Eurypidesa nie wymyślono w sztuce nic nowego.

W polskich warunkach i na tle obecnej sytuacji politycznej i społecznej jest to fakt szczególnie przerażający. W popularności „Dynastii” ujawnił się bowiem podświadomy duchowy eskapizm części społeczeństwa składającego odmawiającego na modlitewnym młynku „modlitwę do Europy”. Pragmatycznej, schłodzonej i umysłowo zadbanej, dla której seriale w rodzaju „Dynastii” są tylko intelektualnym „gadżetem” a nie kulturowym faktem, godnym roztrząsania w biurze, w domu i w urzędzie.

W Stanach Zjednoczonych „Dynastia”, w odróżnieniu od Polski cieszyła się umiarkowanym powodzeniem. Różnica pomiędzy sceptycyzmem z jakim Amerykanie potraktowali ten bryk, a naszym powszechnym entuzjazmem z jakim odnieśliśmy się do niego jest miarą dystansu dzielącego nas obecnie nie tylko od Europy, ale od całego cywilizowanego świata. Jest miarą naszego kulturowego zapóźnienia, społecznego infantylizmu, i w niczym nie zmienionego, tym razem już postkomunistycznego pragnienia dalszego „życia snem” laodziej, społecznej schizofrenii.

I zdaje sobie sprawę, że w odpowiedzi na ten tekst nadejdą być może listy o „zapotrzebowaniu duchowym”, zadzwoni pewno telefon, nadejdzie petycja, aby zakupić dalszych kilkadziesiąt odcinków dzieła. Tym gorzej.

Polecamy

Nowości Wydawnictwa Literackiego

▲ nie tylko dla wideomanów: O. Sobański VIDI — PORADNIK WIDEO;

▲ tajemnice ostatnich Habsburgów: L. Winder NASTĘPCA TRONU. OPOWIEŚĆ O FRANCISZKU FERDYNANDZIE;

▲ fantastyka polityczna w książkach J. A. Zajdla: o upadku reżimu kosmitów — WYJŚCIE Z CIENIA; czy można pokonać zbrodniarzy kosmosu? — CAŁA PRAWDA O PLANECIE KSI.

Tomasz Venclova — w autokomentarzu

(DOKONCZENIE ZE STR. 1)

— Ten wiersz był napisany bardzo dawno. Wyrasta z konkretnej sytuacji. Młody człowiek przyjeżdża do Moskwy, z którą łączy go sprawa prywatna, intymna, bardzo dla niego ważna. Człowiek stara się odszukać to wszystko i nie może. Tam się mówi: „I nie ma nas w Królestwie Niebieskim ani w drugim kręgu Dantego”, tam gdzie znajduje się Francesca i Paolo, dwoje kochanków. Jedyne co daje oparcie w tym świecie pustki, w świecie ziemskim w ogóle, gdzie człowiek jest wygnany ze świata pełni, ze świata prawdy, ze świata światła, jeśli pani chce; jedyne co daje oparcie — to rytym i mowa, zesłany anioł... Jak to Barańczak przełożył:

Tam, gdzie ratunek jakikolwiek był... Pustka i najwyższa z sił. Bo to nieważne, czy to jest był czy niebył.

Ważne jest, że pojawia się jakiś punkt (albo luka) w tym świecie, w tym chaosie. Dla mnie w tym okresie polegał wyłącznie na sztuce. Teraz już tego nie powiedziałbym. Ostateczne potrzeby duchowe człowieka nie są zaspokajane przez sztukę. Więc chyba religia, zresztą w sztuce jest wiele z religii, z mistyki. Bo język doprowadzony do stanu ostatecznej koncentracji daje oparcie w świecie, w którym ze wszystkich stron zagraża niebyt, zło. Język gwarantuje taką wysepkę boskości. Mówię o tym językiem na polu młodopolskim, ale inaczej trzeba by powiedzieć zwięźle, że estetyka jest etyką. W tym sensie kalokagatia jest tym, co należy przyjąć do wiadomości. Sztuka zbiega się z moralnością. W jakimś punkcie. Chociaż w wielu może się rozbiegać. To w końcu banalne. Ale wszystko, co jest naprawdę ważne w życiu — to chyba Chesterton powiedział — jest banalne. Chyba miał rację.

— Mówiąc to, porusza Pan zagadnienia filozoficzne a skądinąd powstaje wrażenie, że unika Pan filozofowania. Zarówno w poezji jak i w esejach. W tym sensie, że nie projektuje Pan przekraczania doświadczenia, granicy wyrażalnego i niewyraźnego; nie rozciąga Pan całościowych wizji ani nie sugeruje docierania do ukrytych sensów. Jednakże wiersze Pana budzą głęboki namysł, osiągając chwilami stan skupienia aforyzmu czy przestania, jak na przykład taki fragment:

Nigdy nie pytaj, dlaczego. Ten tylko, kto drzwi w pół otwiera
Tutaj, gdzie nie ma wzgórze, gwiazdy, pewności zbawienia,
Jak pobity etruski wojownik, napór czasu tarczą odpięra
I zanurza dłoń w rzece sensu, by twarz przemyc, której już nie ma.

— Tu chodzi chyba o to, że człowiek dopiero wtedy może zintegrować swoje doświadczenie, gdy już jest poza istnieniem. Coś podobnego mówił Miłosz: „Kiedy umrę, zobaczę podszewkę świata” (on zresztą w to wątpi).

Wiersze przeważnie pisze się, gdy jest się w złym stanie duchowym, pełnią one taką katarską rolę. Natomiast te wielkie problemy, pytania (i odpowiedzi) trudno wyrazić w sposób dyskursywny. Ale tak myślę: integracja, doświadczenia, rozumienie — możliwe są po wielkiej katastrofie, po przejściu na tamtą stronę.

— Z tego co Pan mówi należałoby wnioskować, że Pańska poezja jest autobiograficzna, nazywająca, aluzyjna, opisowa. I tak jest. Te wiersze pozwalają na rekonstrukcję fragmentów indywidualnego losu, doświadczenia, ale jednocześnie są te fragmenty swoistym kołem zamachowym pamięci obrazów — podstawowego surówka „Rozmowy w zimie”. Czy zgodziłby się Pan z takim odbiorem wiersza „Szeremietiewo 77”? Zacytujmy fragment:

Wiedziałem, że głosy spróchnieją, że słowa obróćą się w pył,
Znajoma twarz zapadnie w półmrok fotografii,
Wyparta poza krąg światła przez lampę i półkę z książkami,
Nie wiedziałem, kto — ja czy oni — jest w niewoli u Persefony.

— „Szeremietiewo 77” okazało się po prostu fałszywym proroctwem. To jest wiersz o niepowrocie. A w zasadzie o tym, że nigdy nie zobaczę swojej matki. Co, dzięki Bogu, nie miało miejsca. Zobaczyłem ją i chyba jutro zobaczę jeśm samolot się nie rozbije.

—O—

Tomasz Venclova spędził na Litwie 10 dni października 1990. Spełniły się życzenia: zobaczył matkę, spotkał się z przyjaciółmi a pośród nich — z czołowymi postaciami życia politycznego zdobywającej niepodległość Litwy. Spęczniał od faktów, wydarzeń i rozmów — prowadzony przez Venclovę od lat — dziennik. A sam poeta po powrocie mówił z nadzieją o zbliżającej się wolności Litwy. Miał przed sobą ciekawą podróż przez Europę, Yale University z czekającymi studentami i plan monografii Aleksandra Wata. Nazwiska Tomasa Venclovy wypatrywaliśmy w pismach literackich i na okładkach książek. Ale najpierw pojawiło się pośród sygnatariuszy protestu przeciw okupacji Litwy i niebawem pod listem-apelem o uznanie Litwy. Z solidarności i z serca życzymy Litwie i jej orędownikom aby kończący „Rozmowę w zimie” wiersz Venclovy:

Wzgórze Itaki pogrążone w śnie,
i małe dziecko nie pamięta krzywdy,
I będzie tylko śmierć i mokry śnieg,
I muzyka, i znikąd nic i nigdy.

by ten wiersz okazał się — jak ongi „Szeremietiewo 77” — proroctwem fałszywym.

MAGDALENA LUBELSKA

Jubileusz prof. Marii Podraży-Kwiatkowskiej

Sens wysiłku historyka literatury

Marian Stala

O twórczości profesor Marii Podraży-Kwiatkowskiej mogę dziś mówić tylko z ogromnym onieśmieniem: tak jak uczeń, świadomy intelektualnych długów, jakie zaciągnął, mówi o dziele swego nauczyciela. Taka perspektywa wypowiedzi wcale nie jest łatwa — w końcu o rzeczach ważnych i duchowo bliskich mówić najtrudniej... Niech będzie to usprawiedliwieniem ułomności tych krótkich uwag, starających się nazwać to, co ze słów Pani Profesor, ze stylu Jej myślenia, pamiętam najmocniej.

1.

1. TWÓRCZOŚĆ NAUKOWA MARII PODRAZY-KWIATKOWSKIEJ koncentruje się niemal bez reszty na kulturze i literaturze Młodej Polski, współuczestnicząc w trwającym już ponad trzydzieści lat procesie budowania nowego, pełnego obrazu tamtej epoki, tak bogatej i tak źle bądź jednostronnie przez całe dziesięciolecie rozumianej. Przy tym: znaczenie tej twórczości nie kończy się na głębokiej, oryginalnej poznawczo interpretacji różnych aspektów młodopolskiej literatury. Monografie, rozprawy i eseje profesor Kwiatkowskiej proponują swym czytelnikom coś znacznie ważniejszego: całościową, dynamiczną wizję badanej epoki, nie tylko znakomicie odśladającą wszystkie jej wymiary, lecz też wyrażającą naznaczoną stylem myślenia interpretatorki. Ten obraz, zarysowany przez autorkę *Młodopolskich harmonii i dysonansów*, a oglądany od strony wspomnianej przed chwilą całościowości — zestawie można (ze względu na jego poznawczą wagę) chyba tylko z analogiczną konstrukcją obecną w dziele Kazimierza Wyki.

Zestawić, ale też (przynajmniej w pewnej mierze) przeciwstawić... gdyż Młoda Polska przeczytana przez Marię Kwiatkowską różni się znacznie od

wizji proponowanej w *Modernizmie polskim* i innych młodopolskich studiach Wyki. O tej odmienności decyduje kilka czynników...

▲ PO PIERWSZE: wyraźne i związane z pozytywnym wartościowaniem zainteresowanie profesor Kwiatkowskiej dziełami i osobowościami twórczymi najbardziej oryginalnymi, najważniejszymi i najbardziej od odbiorców tamtej epoki, często nie mieszczącymi się w jej kanonach estetycznych, skazanymi na niezrozumienie... Sugestie takich właśnie preferencji badawczych stwarza nie tylko monografia twórczości Wacława Rolicza-Liedera (a w niej usytuowanie jego poezji obok dzieł „poetów-konstruktorów”, „poetów mózgowców”, Morsztyna, Trembeckiego, Norwida i Peipera), lecz także — zwłaszcza przeczytane razem — studia o Marii Komornickiej, Tadeuszu Micińskim, Stanisławie Korabiu-Brzozowskim czy Bolesławie Leśmianie...

▲ PO DRUGIE (tu właśnie opozycja wobec stanowiska Wyki jest najwyraźniejsza): wskazanie jak istotnym i wpływowym w obrębie Młodej Polski fenomenem był symbolizm — rozumiany jako model poezji, estetyka, sposób widzenia i rozumienia świata... To oczywiście, iż główne z dotychczas wydanych dzieł Marii Kwiatkowskiej, *Symbolizm i symbolika w poezji Młodej Polski*, musiało dość radykalnie zmienić sposób widzenia poezji tamtej epoki, wyobrażenia o panujących w niej prawdach i tendencjach oraz ich wzajemnych zależnościach

▲ Wreszcie PO TRZECIE: o swoistości dzieła Marii Podraży-Kwiatkowskiej decyduje twórcze wykorzystanie zdobytych krytyki tematycznej i związanych z tym zwrot w stronę „młodopolskiego świata wyobraźni”. pozwalający wydobyć nie tylko bogactwo i niepokojącą urodę tego świata, lecz także zasadnicze, utrwalone w powracających natrętnie obrazach, przemiany młodopolskiego myślenia i rzeczywistości. Najlepszym przykładem zastosowania owej metody jest chyba esej *Pustka — otchłań — pełnia*, który na długo pozostanie pośród tekstów odśladających zasadnicze napięcia epoki, jej wewnętrzną dialektykę,

prowadzącą od inercji i rozpaczony do odrodzającego witalizmu lat poprzedzających pierwszą wojnę i odzyskanie niepodległości.

Można to powiedzieć inaczej. Studia Marii Podraży-Kwiatkowskiej pokazują Młoda Polskę nie od strony kontynuacji poprzednich literackich epok, lecz raczej: zapowiedzi XX wieku. Akcent pada tu dość wyraźnie na przełomowy charakter kultury tamtych czasów. Podkreślane jest wszystko to, co w niej nowe, trudne, awangardowe. A także to, co jest przecuciem nowej rzeczywistości, wielokrotnie później opisywanej przez proroków i analityków XX-wiecznego inferna.

Poza tym: wzmocnieniu ulega w interpretacji profesor Kwiatkowskiej raczej to, co łączy ówczesną literaturę z przemianami dokonującymi się w skali Europy — niż to, co ją zamyka w polskim zaścianku...

Nie ukrywam, iż Młoda Polska otwarta na nadchodzące awangardy, przepowiadająca cywilizację Wielkiej Liczby, spokrewniona z europejskim wyrafinowaniem — jest tą stroną epoki, która przyciąga mnie znacznie mocniej niż kontynuacje romantycznych gestów czy naturalistycznych obcesji.

2.

2. POWIEDZIAŁEM, IŻ STUDIA I ESEJE MARII KWIATKOWSKIEJ PRZYNOSZĄ CAŁOŚCIOWE, PANORAMICZNE WIDZENIE MODERNIZMU. Muszę dodać, iż drugą stroną owego widzenia jest niezwykle, w pełni suwerenne panowanie nad historycznym konkretem, nad każdym szczegółem ukrytym w literaturze epoki i przydatnym do konstrukcji całościowej wizji. Jeśli zatem autorka *Młodopolskich harmonii i dysonansów* wspomina o jakimś obrazie, to pojawia się on natychmiast w niezliczonych wariantach, zacerpniętych z długiego szeregu modernistycznych tomów poezji i prozy. Jeśli mówi o idei — to pokazuje jej wszystkie ówczesne wcielenia... Droga do panoramy wiedzy tu zawsze poprzez scalanie i zdezeranie elementów, przez wykrywanie związków i pokrewieństw między różnymi poziomami, aspektami, wymiarami tamtej rzeczywistości...

W esejach takich jak *Bóg, ofiara, ciown czy nychopata, Salome i androgyne* czy *Naga dusza w epoce mundurow* ta skomplikowana gra historycznym konkretem, wsparta umiejętnie stosowanymi chwytami konstrukcyjnymi (nagromadzenie, dopełnianie, gradacja i przeciwstawianie interpretowanych obrazów i myśli),

gra tłumacząca meandry młodopolskiego oglądu świata, staje się, naprawdę, sztuką...

3.

3. MIMO KONCENTRACJI NA JEDNEJ EPOCE STUDIA MARII PODRAZY-KWIATKOWSKIEJ SA CZYMŚ ZNACZNIE WIĘCEJ NIŻ NOWA LEKCJA MŁODEJ POLSKI. Być może jest to kwestia metody... Albo, co bardziej prawdopodobne, wynikiem wyraźnej fascynacji możliwościami twórczej wyobraźni i uznania dla sztuki broniącej swej autonomii... Jakkolwiek by było: tak *Symbolizm i symbolika w poezji Młodej Polski*, jak i wspomniane przed chwilą eseje umieścić trzeba w rzędzie najlepszych powojennych dzieł o poezji. Dzieł pisaných przez historyków i przez krytyków na równi. Zresztą to rozróżnienie nie jest w tym wypadku najważniejsze. Liczy się głęboka, bezinteresowna miłość poezji i zdolność jej błyskotliwej, wszechstronnej interpretacji. Liczy się przekonanie, iż poezja jest czynem niezwykle istotnym w kształtowaniu ludzkiej osoby, w odśladaniu wszystkich wymiarów istnienia. I te myśli są wpisane w rozważania Marii Podraży-Kwiatkowskiej równie mocno, jak obecne są w poświęconych współczesności esejach Kazimierza Wyki, Jerzego Kwiatkowskiego czy Jana Błońskiego...

4.

4. WSPÓLCZESNI HISTORYCY LITERATURY POWATPIEWAJĄ CZASAMI W SENSOWNOŚĆ SWEJ PRAICY, pytając „jak jest możliwa” albo nawet „czy jest możliwa” dzisiaj historia literatury. Te wątpliwości można mniej lub bardziej przekonująco uzasadnić, podobnie jak sady o końcu historii czy końcu literatury... Można to czynić, ale też jest w tym geście coś zasadniczo nieprzystojnego intelektualnie...

Książki Marii Podraży-Kwiatkowskiej poruszają mnie także dlatego, iż nie wątpię w sensowność wysiłku historyka literatury. Iż widzą ten wysiłek w perspektywie odpowiedzialności — za literaturę i za własny, ostatecznym wymiarze, egzystencjalny wybór mówienia o niej, skupienia na niej swego istnienia, planu własnego życia. Za tę lekcję powagi i odpowiedzialności winni jesteśmy Pani Profesor szczególnie wdzięczność.

(Wystąpienie wygłoszone w czasie jubileuszu profesor Marii Podraży-Kwiatkowskiej 19 stycznia 1991 roku).

Pamiętnik nudziarza

Jacek Wojciechowski

Ludzie, których los wpłatał w zdarzenia ważne, nie zawsze mają narracyjny talent. Ich relacje mogą więc być niesprawne, ale jeśli zawierają informacje rzetelne, to wystarczy redakcyjny retusz, żeby powiadomienie okazało się użyteczne. Chyba że z mętnym sprawozdaniem zbiega się informacyjna pustka: wówczas wszystkie redakcyjne sztuczki są bezskuteczne.

Taki właśnie przypadek stanowi pamiętnik ostatniego cara Mikołaja II, wzniesiony po polsku (czy potrzebnie?) po 65 latach.

Jeżeli dwa tomy wspomnień są w ogóle czytelne, to tylko za sprawą komentarzy, którymi zastąpiono lwią część oryginalnych zapisków. Edytor wybrał jednak łatwiejsze oraz taniocze: są to komentarze, przedrukowane bez zmian w wersji z 1924 roku, mimo że tymczasem pojawiły się ustalenia nowe. Jest to więc wydawnicza hybryda, która nie budzi zachwyty. A sam Mikołaj II, ongiś nie bez racji nazywany „krwawym”, a także „miernotą” — choć również mówiono o nim, że „nieszczęśliwy” — dzięki temu pamiętnikowi może kandydować do tytułu supernudziarza stulecia.

Rosyjscy komuniści, mając świadomość intelektualnej i poznawczej jałowości carskiego dziennika, nie sprzeciwiali się publikacji, a nawet przeciwnie. Tak więc sugestia z 1924 roku (zawarta w przedmowie) rzekomej sensacyjności polskiego wydania, jest bałamutna.

Trudno bowiem znaleźć lepsze umotywowanie rewolucji, aniżeli dziennik głu-

wego cara. W czasie, kiedy kraj chylił się ku upadkowi, kiedy ludzie głodowali, cierpieli na zsykach lub ginęli w carskich wojnach — jego imperatorska wysokość miał w głowie jakieś głupstwo. Aż do 25. roku życia zabawiał się lepieniem bałwanów, jazdą na sankach, uwielbiał też długie spanie, strzelanie do... wron i zabawę w chowanego, a prawie do końca szczególnie cenił wojskowe parady, w których chętnie uczestniczył, demonstrując umiejętności plutonowego. Jego ojciec, Aleksander III, również miernie wykształcony i także uparty, bezkrytyczny, konserwatywny, takim bęcwałem jednak przecież nie był.

Mikołaj II zdumiewa miernością intelektu, infantylną naiwnością, oraz kompletną niezajomością rzemiosła władcy. W zaślepieniu, swoim głównym doradcą politycznym uczynił również głupią i apodyktyczną żonę, nic zatem dziwnego, że jedno decyzyjne głupstwo nastąpiło po drugim. A cały ten karykaturalny system sprawowania władzy sięgnął dna za kadencji Griszki Rasputina.

Zawsze wydawało mi się, że w historycznej powieści A. Solżenicyna „Marzec 1917”, portret ostatniego cara jest wyjątkowo krytyczny. Jednakże wygląda na panegiryk — w zestawieniu z cenzurką, jaką Mikołaj II mimo woli wystawił sam sobie.

Oczywiście bolszewikom taki autoportret cara bardzo odpowiadał. Z lektury jego pamiętnika wynikało bowiem niezbicie, że Rosją rządził tępy satrapa, którego należało koniecznie usunąć siłą. Rzecz

jasna, rozstrzelanie dzieci było odrażającym barbarzyństwem, ale trudno oprzeć się refleksji, że to jednak właśnie sam car sprokurował swojej rodzinie tak przerażający los. Zabrakło mu wyobraźni, żeby przewidzieć bieg wydarzeń, toteż nie kiwnął nawet palcem dla przeciwdziałania, kiedy jeszcze był stosowny czas.

Ow brak wyobraźni okazał się zresztą w jakimś sensie zbawienny tej ostatniej, dramatycznej nocy w Jekaterynburgu. Car bowiem do końca nie miał najmniejszego pojęcia, na co się zanosi, a kiedy z rozkazu Jurowskiego czekał na rozpoczęcie rzezi, on właśnie zginął jako pierwszy. W ten sposób nie musiał oglądać śmierci własnych dzieci: przynajmniej tyle zostało mu oszczędzone.

Ponure okrucieństwo losu polega nie tylko na tym, że taki był koniec carskiej rodziny, ale zawiera się również w tym, iż całe to nieszczęście spotkało akurat „człowieka rodzinnego”, którym Mikołaj II niewątpliwie był i jakim przedstawił się w swoim pamiętniku. Lwią część tego tekstu stanowią bowiem — najnudniejsze z nudnych — relacje o spotkaniach, wspólnych posiłkach, zabawach, spacerach z rodziną, z rodzeństwem, z dalszymi krewnymi, a potem bez przerwy wypowiada się Mikołaj o swojej żonie Aliks oraz (nieco rzadziej) o dzieciach. Z pewnością rodzina i uwielbiana żona przesłoniła mu cały świat, co ma swój wymiar głęboko ludzki i w przypadku osoby prywatnej byłoby naturalne. Ale mowa przecież o polityku.

Zresztą jako osoba prywatna nie byłby Mikołaj w stanie zainteresować nikogo, nie w nim bowiem nie było ciekawego. Skoro jednak jako polityk eksponował swoją prywatność, o sprawach publicznych przebiegając tylko od czasu do czasu to była w tym jakaś polityczna paranoja. Tym bardziej, że ów rodzinny „wymiar” niczego nie zmieniał — nie przewartościowywał ocen. W końcu za ludzi rodzinnych uchodził największy zbrodniarz polityczny, np. Hess, Frank, Goebbels, Eichmann i nawet Stalin — w stosunkach rodzinnych w zasadzie brutalny — z niezwykłą pobłażliwością i ogromnym sentymentem odnosił się do swojej córki Swietłany.

Natomiast jako polityk, w następstwie pychy i nieudolności, Mikołaj II — do spółki z małżonką — popełnił wszystkie, najcięższe z możliwych, zbrodnie polityczne. Jego stagnacyjny, konserwatywny kurs polityczny spowodował cierpienia i nędzę całego narodu, wszystkich jego warstw, zaś absolutny woluntaryzm w obsadzeniu co ważniejszych stanowisk, przyczynił się do zacołania, a z czasem do rozkładu państwa jako instytucji. Bezmyślna, brutalna polityka represji przyniosła nieszczęście tysiącom ludzi, prześladowanych za przekonania, zsyłanych na Sybir i w rezultacie wzmożła przeciwterror oraz uniemożliwiła funkcjonowanie instytucji demokratycznych. Poza tym car rozpętał krwawą wojnę z Japonią, okrutnie obzedł się z uczestnikami masowych protestów w 1905 roku, następnie na długie miesiące oddał kraj we władanie prymitywnemu szarlatanowi, zaś do udziału w wojnie światowej wprowadził źle uzbrojoną i rozregulowaną armię, fatalnie zaopatrzoną (jak zresztą cały kraj) i tolerował w niej najgłupszych dowódców, potem zaś sam przejął dowodzenie, mimo że nie

dawał sobie rady nawet z plutonem.

Lecz zbrodnię najcięższą stanowiło mimowolne utworzenie drogi do władzy komunistom, którzy następnie opanowali połowę Europy i Azji. Co przyniosło dziesiątkom milionów śmierć, a setkom milionów — gołgotę. I właśnie dlatego ostatni car Rosji, razem ze swą żoną, powinien być odpowiadającym przed trybunałem światowym. Stało się jednak inaczej: ta zbrodnica para sama padła ofiarą okrutnej zbrodni.

Mikołaj II, tak jak jego poprzednicy, mienił się królem Polski, ale zadawał się samym tytułem: był wszak jednym z najgorliwszych rusyfikatorów. Zresztą możliwe, że w sensie geograficznym, politycznym i demograficznym, nie odróżniał Rosji od Polski — był na to zbyt wielkoruski oraz zbyt nie douchony.

Przez pewien czas naiwni liczyli na jakies życzliwsze wobec Polaków odruchy, ze względu na romans z baletnicą Krzesińską, z którą podobno Mikołaj miał nawet dzieci. Ale chyba zbyt często sądzono, że wdzięki naszym pięknym rodaczek zainteresują możliwych tego świata Polaków: tak nie stało się ani raz. Romans z Krzesińską skończył się po koronacji i po ślubie cara.

O Krzesińskiej car wspomina w swoim pamiętniku raz i drugi, jakkolwiek ogólnie, o innych zdarzeniach natomiast powiadamiając głównie komentarze, wprowadzone zamiast autorskich wypowiedzi, lub wmontowane w tok wywodu. Sam dziennik — kiepskawy przełożony — jest raczej próbą introspekcji, jednakże mało ciekawą, bo tępy, zadufany w sobie satrapa, nawet samoanalizy nie umiał dokonać porządnie. Dlatego lektura budzi uczucia mieszane.

Pamiętnik Mikołaja II. Bydgoszcz 1990 „Somix”. T. 1/2. s. 176, 232. 19.500 zł.

Renesans nowelistyki amerykańskiej?

Leszek Elektorowicz

W pierwszej połowie stulecia, aż po lata sześćdziesiąte, może z przerwą na okres „wielkiego kryzysu”, amerykańska *short story* przeżywała czasy swojej świetności. Począwszy od Breta Harta czy Ambrose Bierce'a poprzez O'Henry'ego, Johna Scotta Fitzgeralda, Ernesta Hemingwaya, Johna O'Hare, po J. D. Salingera, nie wymieniamy wielu innych znakomitości, ich krótkie opowiadania były drukowane przez bardzo wiele czasopism, głównie tygodników, ale i gazet, i były czytane przez szerokie rzesze czytelników jako ulubiona forma rozrywki porównywalnej dziś do serialu telewizyjnego.

Popularność tego gatunku wśród czytelników i rozkwit prasy tygodniowej, z czasem bogato ilustrowanej, sprawiły, że *short story* była towarem poszukiwanym i hojnie honorowanym przez redakcje. John Scott Fitzgerald czy Ernest Hemingway uzyskiwali po kilkadziesiąt tysięcy dolarów za jeden krótki utwór w czasie, gdy dolar miał wielokrotnie wyższą wartość od dzisiejszej.

Także i mniej znanymi, i młodszymi autorom udawano się wcale dobrze żyć z opowiadań pisanych dla czasopism. Antologista O'Brien oblicza, że już w 1919 roku ponad pięćdziesiąt tygodników drukowało systematycznie opowiadania, zaś The Saturday Evening Post, w tymże roku ogłosiła ich trzysta osiem.

Nie tylko zejście ze sceny w latach sześćdziesiątych takich mistrzów krótkiej formy jak Hemingway, potem Caldwell, czy zamilkły Salinger, ale przede wszystkim odwrócenie zainteresowań odbiorców w stronę telewizji, która wypełnia potrzebę rozrywki, zapewne mniej ambitnej niż lektura noweli — sprawiły, że gatunek ten zaczął upadać. Rozwój telewizji, z wprowadzeniem koloru, potem magnetowidów i kaset, przypięczętował los większości czasopism. A już te, które się ostały, rzadziej sięgały po *short story*. Do dziś zresztą tylko jeden właściwie wysokonakładowy tygodnik w Stanach publikuje opowiadania, a jest nim The New Yorker, nb. druk na jego łamach jest nobilitacją autora.

Poza tym można czasem przeczytać ciekawe opowiadanie w paru miesięcznikach, jak The Atlantic czy Harper's lub w niskonakładowych tzw. *little magazines*, wydawanych w cyklu miesięcznym, kwartalnym czy wręcz nieregularnie, sumptem uniwersyteckich fundacji, albo federalnych lub stanowych dotacji. Inne pisma, jak utrzymujące się na rynku znane tygodniki The New York Review of Books, Saturday Review i in. wolały reportaże, eseje czy — zwłaszcza N. Y. Times Book Review — recenzje z nieprzebranego mnóstwa ukazujących się w Ameryce książek. (Oblicza się je na 80.000 tytułów rocznie).

Ale przecież w ostatniej dekadzie coś się odmieniło. Autorka „The Best American Short Stories”, Shannon Ravenel, dokonała swego wyboru spośród wydanych w zeszłym roku 2000 pozycji, gdy w 1977 miała ich do dyspozycji 700. W 1989 r. na pierwszą stronę N. Y. Times Book Review trafiły aż czterokrotnie omówienia zbiorów nowel, co jest swoistym ewenementem, zaś rok wcześniej tom opowiadań „Emperor of the Air” autora nazwiskiem Ethan Canin znalazł się na liście bestsellerów. Zjawisko stało się na tyle znamienne, że „Publisher's Weekly” ogłosił w 1987 r.

artykuł zatytułowany „Czy istnieje boom na *short story*?”. Dobry przegląd w tym względzie dają coroczne antologie najlepszych opowiadań, zaś wydana w r. 1990 antologia lat osiemdziesiątych może być jednym z symptomów odmiany, tak co do jakości prezentowanych utworów, jak i wybitności ich autorów.

Sytuacja ta, jak sądzę, wynika stąd, że wobec zagrożenia ze strony telewizji, proza artystyczna w ogóle, a w szczególności nowelistyka, licząca dotąd na bardziej przygodnego czytelnika, zaczęła poszukiwać swej nowej tożsamości. Najbardziej zagrożona mogła się poczuć proza tradycyjna, odzwierciedlająca przedmiotową rzeczywistość, która o tyle wierniej niż słowo przekazuje obraz. Jeszcze dotkliwej odczuć mogła konkurencję telewizji właśnie nowela, tworzona według konwencjonalnych zasad dramaturgii: ekspozycja — rozwinięcie — spiętrzenie akcji — zawieszenie — kulminacja i coda. Tak według czytelnich gustów preparowana kompozycja znalazła swe idealne urzeczywistnienie właśnie w filmach i serialach telewizyjnych. W prozie nowelistycznej poczynano nudzić jej przewidywalność, szczególnie jeśli w recepcji traktowana była jako bardziej czy mniej intelektualna rozrywka. Dołączyły się do tego przemiany cywilizacyjne, polityczne zachodzące w świecie. „Jeśli rzeczywistość staje się surrealistyczna, cóż działać ma proza powieściowa, aby być realistyczną?” — zapytał w 1975 r. pisarz Joe D. Bellamy. A wcześniej, bo już w 1967 roku, w pierwszej dekadzie postmodernistycznej erw znany krytyk Robert Scholes dojrzał potrzebę „powrotu do bardziej werbalnej prozy, mniej

realistycznej, do bardziej artystycznego rodzaju narracji”.

Short story staje się wehikułem eksperymentu, laboratorium formy. Dla twórców. Ale znajduje też — w swym odnowionym kształcie — odbiorcę. I tworzy go: odbiorcę nowej generacji, poszukującego innych walorów niż stricte narracyjne, tak jak je pojmuje konwencja. Odbiorca ten jest również niekonwencjonalny w porównaniu z czytelnikiem The Saturday Evening Post. To najczęściej student, młody intelektualista, ale też — wyrobiony, dojrzały czytelnik. Zdobywano go najpierw zbiorami wydawanymi w masowych nakładach zwanych paperbacks kryjąc się wpiężej za zasłoną „czarnego humoru” (Black Humor, ed. B. J. Friedman, N. Y. 1965), potem programowo deklarując „przeobrażenie opowiadania, *superproze*” (Superfiction or the American Story Transformed, by J. D. Bellamy, N. Y. 1975), wreszcie docierając na karty popularnych dorocznych antologii. Autorzy tacy, jak: Barth, Pynchon, Hawkes, Vonnegut, Gardner, Barthelme, Cover, Gassi stanowią dziś czołówkę amerykańskiej prozy.

I jeśli anno 1990 w antologii dekady *) znajdujemy utwory kilku z tych postmodernistów obok mniej nowatorskich, ale jakoś odnowionych czy to przez język czy problem, opowiadań wybranych z mniej lub bardziej poczytnych czasopism, znów coraz chętniej je publikujących — oznacza to, że po przejściu kryzysu *short story* odżyła, oświeżona, — *born again* — powtórnie narodzona.

*) The Best American Short Stories of the Eighties, ed. by S. Ravenel. Boston 1990.

Kontynuujemy druk nieznaną w Polsce książki J. Barrona o działalności KGB. Stała się ona trzy lata temu bestsellerem na Zachodzie, a dziś przygotowuje ją dla czytelników Wydawnictwo Literackie. Całość tłumaczyli Andrzej Nowak i Barbara Sławomirska.

KGB — ukryta ręka (IX)

John Barron

Zlikwidowanie jednego z wielu kanałów tylko na krótko pomieszało szlaki Rosjanom. Urukowali po prostu następny, za pośrednictwem Bruchhausena i Maluty. A bez wątpienia było też wiele innych. Faktem jest, że przez ponad dziesięć lat Sowieci infiltrowali amerykańską produkcję półprzewodników, kradnąc właściwie wszystko, co tylko chcieli. Ogromne rozmiary strat odniesionych w tej dziedzinie odnotowało sprawozdanie CIA, przygotowane w maju 1982 roku:

„Zachodni sprzęt oraz technologie odegrały niezwykle istotną, jeśli nie najważniejszą, rolę w rozwoju radzieckich mocy produkcyjnych w dziedzinie mikroelektroniki. Rozwój ten jest rezultatem ponad dziesięciu lat wywożenia — w sposób nielegalny — egzemplarzy urządzeń elektronicznych wartości setek milionów dolarów, w celu wyposażenia w nie własnych wytwórni, pracujących w celach militarnych. Te systematyczne nabytki umożliwiły Sowietaom zbudowanie nowoczesnego przemysłu mikroelektronicznego, mającego być bazą dla przyszłego radzieckiego wyposażenia wojskowego na okres najbliższych dziesięcioleci. Nabyty sprzęt i opanowane technologie mogą zaspokoić w stu procentach potrzeby ZSRR, gdy idzie o cele zbrojeniowe, lub w pięćdziesięciu procentach, gdy idzie o wszelkie potrzeby cywilne”.

Równie silnie, jak o wyroby przemysłu elektronicznego, Rosjanie zabiegają również o technologie i nabywanie umiejętności wdrażania ich. Toteż zdecydowana większość studentów z bloku wschodniego, przyjeżdżających do Stanów w ramach wymiany, studiuje nauki ścisłe na uczelniach, które są na bieżąco z ostatnimi osiągnięciami w tej mierze. W coraz większym też stopniu KGB przysyła agentów, którzy pozują na emigrantów politycznych.

Dokumenty i świadectwa, jakie przedstawił Gennadij Popow, gdy w roku 1980 starał się o zatrudnienie w jednej z wiodących amerykańskich korporacji elektronicznych, były wyjątkowo imponujące. Cechował go niezwykle ujmujący sposób bycia. Urodzony w roku 1952 w Rosji, Popow sprawiał wrażenie niemalże geniusza matematycznego. Posiadał dyplom magisterski i doktorski z zakresu matematyki, pracował jako analityk w Instytucie Matematyki Stosowanej i brał udział w programie badań komputerowych w ramach Radzieckiej Akademii Nauk. Przed ukończeniem dwudziestego siódmego roku życia zdał opublikować około trzydziestu artykułów naukowych i wytypowano go do nagrody państwowej. Ponadto specjalizował się w dziedzinie projektowania przy pomocy komputerów, czyli w tej dziedzinie, w której amerykańska korporacja dźwierz zdecydowany prym w świecie. I mimo że Związek Radziecki pozostaje w tej mierze w tyle, młody Popow wykazywał się wiedzą równą wiedzy nau-

kowców amerykańskich, którzy przeprowadzali z nim rozmowy. Jego znajomość języka angielskiego i amerykańskiego żargonu naukowego była niemal bezbłędna, a entuzjazm czynił na wszystkich bardzo dodatnie wrażenie.

Chociaż wspomniana firma chciała zatrudnić Popowa, nasuwały się jednak pytania wymagające konkretnych odpowiedzi. Sowieci bowiem niechętnie godzą się na emigrację ludzi posiadających tak wielkie talenty i wykształcenie, natomiast Popow otrzymał zezwolenie na wyjazd już w dziewięćdziesiąt dni po wystąpieniu z odpowiednią prośbą. Jego matka, ojciec, brat i dziadek nadal pozostali w ZSRR, podobnie zresztą jak i krewni jego żony. Na pytanie, co zrobi, gdy KGB zechce go szantażować poprzez presję na krewnych, Popow odpowiedział, że do tego nie dojdzie.

Abym rozwiał wątpliwości, Popow sam zgodził się na odbycie kompleksowych badań, w czasie których pytano go również: „Jest pan Rosjaninem. Czy zamierza pan odpowiadać na każde pytanie zgodnie z prawdą? Czy stara się pan o pracę z przyczyn ekonomicznych, czy też z jakichś innych powodów? Czy jest pan wprost lub też pośrednio zatrudniony przez Związek Radziecki? Czy przysłało tu pana celowo, by uzyskać pan pracę w firmie opracowującej technologie?”.

Zadna z odpowiedzi Popowa na powyższe pytania nie wypadła przekonywająco.

Kiedy powiadomiono go, że nie może otrzymać stanowiska, o jakie się ubiegał, ponieważ jego krewni pozostają w Związku Radzieckim, Popow nie zraził się tym wcale. Nadal poszukiwał pracy i wreszcie znalazł ją w innej firmie, realizującej wiele kontraktów na rzecz armii. I tym razem też nie przebrnął przez kompleksowe badania. Ale, jak dotąd, nie popełnił żadnego przestępstwa — jak wiadomo dobrze ludziom z KGB — FBI, nie mając kompletnego materiału dowodowego, nie może wszczynać żadnych konkretnych kroków.

Lista urządzeń i planów, wywiezionych przez KGB w ostatnim dziesięcioleciu jest wręcz oszałamiająca. KGB wykradło szkice planów wielkiego samolotu transportowego „C-5A”, nim jeszcze firma Lockheed zaczęła go produkować. Silosy rakiety „ss-13”, pierwszego radzieckiego pocisku na paliwo stałe, są zaskakująco podobne do amerykańskich silosów „minuteman”. Radzieckie pociski „sam-7”, które zniszczyły tak wiele amerykańskich myśliwców nad Wietnamem, są w znacznej mierze kopią amerykańskich pocisków „redeye”. Dzięki kradzieży amerykańskiego sprzętu i technologii Rosjanie osiągnęli możliwość wystrzeliwania pocisków ze statków, czego wcześniej nie potrafili robić.

Oprócz materiałów zdobytych w sposób nielegalny, Rosjanie uzyskali również dużą ilość sprzętu i wiele technologii dzięki transakcjom legalnym. Na początku lat siedemdziesiątych podjęli akcję bezpośrednią, mającą na celu przekonanie przedsiębiorstw państw zachodnich, że Związek Radziecki to prawdziwe Eldorado, które można należycie wykorzystać za sprawą handlu i kredytów. Toteż, idąc z duchem epoki odprężenia, administracja Nixona udostępniła tajne dotąd wytwórnie i laboratoria odwiedzającym USA radzieckim naukowcom, inżynierom i przedstawicielom myśli technicznej.

Delegacje radzieckie systematycznie zwiedzały wielkie zakłady Boeinga w Seattle i wytwórnię Lockheeda pod Burbank, mając swych gospodarzy nęcącą perspektywą zwielokrotnienia zakupów samolotów. Rzecz jasna, aby zdecydować, który typ samolotu chcą kupić, Sowieci żądali różnego rodzaju danych technicznych oraz planów. I dostawali je.

Późno w nocy pewien rosyjski inżynier przyszedł ukradkiem do hotelowego pokoju, który zajmował oficer amerykański, przydzielony do opieki nad grupą przyszytych nabywców. Piłany Rosjanin oświadczył Amerykaninowi, doskonale zresztą władającemu rosyjskim: — Nie bądźcie głupi. My przecież nigdy nie kupimy waszych samolotów. Nie mamy na to pieniędzy. A poza tym, w jaki sposób moglibyśmy zmusić kraje Europy Wschodniej do używania naszych samolotów, gdybyśmy sami kupowali wasze? Nie! Jesteśmy tu tylko po to, aby móc przejrzeć wasze tajemnice.

I była to prawda. Sowieci nigdy nie zamierzali kupować żadnych amerykańskich samolotów. Ale w dziesięć lat później sami zaczęli produkować swe pierwsze wielkie odrzutowce „il-86”, które tak bardzo przypominają „boeingi-741”. Natomiast ich nowy transportowiec „il-86” w uderzający sposób przypomina „lockheeda C-141”.

CDN

Po co ludziom filmy

Kino włoskie znów obecne?

Adam Garbicz

Prawie nikt nie zna przyczyn jednego z najdłuższych trwających ograniczeń naszego poznania kulturalnego, związanych co najmniej pośrednio ze stanem wojennym: nieobecności w Polsce filmów włoskich. Jeżeli czegoś tak długo brak, przestaje to być zauważalne; współczesne pokolenie młodych widzów nie ma już w swojej świadomości ani tego, że Włosi od pół wieku zajmują miejsce w pierwszej czwórce światowych kinematografii, ani tego, że do końca lat siedemdziesiątych demonstrowało się to w odpowiednich proporcjach także na ekranach polskich. Potem nastąpiło zerwanie, którego przyczyną była typowa bolszewicka nieuczciwość ówczesnego wiceministra od kinematografii i szefa centrali dystrybucji: aby czymś zapelnąć kina stanu wojennego, zdecydowali wyświetlać filmy, za które Włochom nie zapłacono licencji. Bizantyjskie usprawiedliwienie: kryzys, nie mamy pieniędzy. Mentalność gierkowskiej epoki sukcesu: jakoś się potem zalatwi. Naturalnie zalatwić się nie dało. Włosi odpowiedzieli bojkotem.

Od tego czasu przez całą dekadę trafiło do nas tylko parę filmów Felliniego, a to z tej racji, że udało się je kupić od współproducenta francuskiego; nieco pokazała telewizja, którą zdaje się traktowano w pertraktacjach jako instytucję niezależną — ale i tak z całego bogactwa lat osiemdziesiątych zobaczyć można było na małym ekranie tylko jeden film pierwszej klasy, i to zaledwie przed miesiąc-

cem: GOOD MORNING BABILONIA. Reszta była cząstkowo dostępna dla bardzo nielicznych w Warszawie i Krakowie dzięki Włoskiemu Instytutowi Kultury i działaniom kilku klubów filmowych. Można jeszcze śmiało powiedzieć, że dla krakowian dodatkowym oknem na kino włoskie są sprezentowane miastu retransmisje i programy włoskiej tv. To wszystko jednak nie wyrównywało strat.

Zmiany, wydaje się, nastąpią dopiero teraz, gdy w Polsce zniesiono centralny monopol dystrybucyjny, a w Europie zintensyfikowała się wewnętrzna wymiana kulturalna w imię ochrony tożsamości kontynentu. W ramach podpisanej umowy o wymianie wzajemnej wielki dystrybutor SACIS, odpowiednie ministerstwo i Włoski Instytut Kultury zorganizowały pierwszy z przegladów włoskiego kina. Tylko w Warszawie i Krakowie, ale jest to początek, który może przynieść szansę żywego powrotu. Najwyższa pora; przecież w Italii istnieje już cała generacja twórców Polakom nie znanych: Avati, Tornatore, Moretti, Nichetti, Amelio...

Na przegład w Krakowie, od 12 do 17 stycznia, składało się sześć filmów, wśród nich dokonania pierwszego i ostatniego z wymienionych oraz PRZED SKLEPEM JUBILERA, adaptacja sztuki Karola Wojtyły. Starannie dobrany, zróżnicowany zestaw spełnił chyba swe zadanie; stwierdzając to, warto się jednak zatrzymać nad otwierającym go filmem. Nie tylko dlatego, że jest wybitny w

formie i treści; także z tej racji, że niedawno otrzymał „Felixa” jako najlepszy europejski film roku i że jest blisko spokrewniony z pierwszym dziełem uhonorowanym tą nagrodą przed dwu laty: z KRÓTKIM FILMEM O ZABIJANIU Kieślowskiego.

OTWARTE DRZWI Gianniego Amelio również są o zabijaniu: najpierwo morderstwie, potem o zgładzeniu sprawy w imieniu prawa republiki faszystowskiej roku 1933. Morderstwo w tym filmie jest nawet potrójne: trzecią ofiarą była własna żona; a jednak intencją autora jawi się wyraźnie obrona życia winowajcy. W imię nakazu moralnego i w imię wątpliwości. Do końca nie wiemy bowiem, co się stało, choć świadkowałismy zadawaniu śmierci; słyszeliśmy, co wówczas sprawa mówił; możemy z niechęcią przyjrzeć się jego odpychającej powierzchowności i poznać brutalny charakter. Wspaniała kreacja Ennia Fantastichiego, który od twarza tego bohatera, została również nagrodzona „Felixem” Odkrycia Roku. Specjalną nagrodę zdobył ponadto Gian Maria Volonté występujący w roli sumiennego sędziego chcącego zrozumieć zanim skaze „Felixa” za zabicie przynajmniej zaś operatorowi OTWARTYCH DRZWI — Tonino Nardiemu.

DWUNASTU GNIEWNYCH LUDZI, inna wielka obrona człowieka przed wyrokiem skazującym, obrona w imię wątpliwości, rozgrywała się przed oczami widza w sali obrad zespołu przysięgłych; tutaj cała argumentacja, która doprowadza do uniewinnienia (skazaniem kończy się dopiero rozprawa w wyższej instancji), zostaje przed nami ukryta: kurtylna w Amelii zapada dokładnie w tym momencie, w którym odstania się w filmie Lumeta. A jednak mamy dostatecznie dużo tropów, by podążać za nimi myślą, jak też wystarczająco dużo argumentów, by zmuszono nas do uznania naszej małości wobec złożonych spraw tego świata. Rzeczywi-

stość jest nieprzenikniona; nie nam sądzić człowieka, który do swego czynu został zmuszony przez dumę, zawiedzione zaufanie, zdradzony idealizm i może jeszcze coś, o czym nie dowiemy się nigdy, zwłaszcza że na szybkie zakończenie sprawy nalega totalitarne państwo, podsycające nienawiść wobec odmienności. Przecież to proste: kradł, przyłapano go, zwolniono, zabił więc z zemsty zwierzcznika, a potem żonę, którą ongiś sam pchnął w jego ramiona, by się ratować. Ze coś krzyczał na sali rozpraw o swym czynie jako proteście przeciw korupcji? Wiadomo, tani sposób obrony: robić z siebie idealistę, a ze sprawy kryminalnej — polityczną.

Uważni spektatorzy OTWARTYCH DRZWI rozumieją jednak, że na końcu wiedzą mniej niż na początku, choć po drodze kilkakrotnie odkryto przed nimi tajemnice zdające się nareszcie wszystko objaśniać. To cecha charakterystyczna literatury, która tu została zekranizowana: piarstwa Leonarda Sciasci, niedoścignionego znawcy swojej Sycylii, piecy jej kultury i filozofa jej tożsamości, tak związanej z mafią. Tytuł sfil-mowanej opowieści jest wykładnią jego rozważań o istocie ładu społecznego: żadna represja, żaden totalny ry-goryzm państwowy nie zmusi człowieka do czynienia dobrze. Najlepszym ograniczeniem jest wolność. Skuteczną barierą dla zła mogą być właśnie nie zamknięte, lecz otwarte drzwi.

Myśl w istocie bardzo chrześcijańska, jakkolwiek w traktacie Sciasci i Amelii w ogóle nie ma bezpośredniej obecności Kościoła. Niewątpliwie też — myśl bardzo inspirująca: choćby przez to, że zdaje się tak paradoksalna w dzisiejszym stanie polskich doś-wiadczeń. By jednak do szerokiej in-spiracji doszło, konieczne jest pozna-nie. Otwarcie drzwi na kulturę euro-pejską. Ale czy tego naprawdę chcemy? Czy ta potrzeba skłoni nas do skorzystania z szansy? Teraz ją mamy naprawdę.

Witold Turdza odkrywa:

Nieznany wiersz Boya!

W Jamie Michalikowej zdarzył się niedawno przedziwny wypadek. Nieoczekiwanie pękł wiszący tam zielony balonik, z którego wypadła serwetka z nagryzmolonym na niej wierszykiem. Po żmudnych badaniach udało się ustalić, że jest to, pisany ręką samego T. Boya-Żeleńskiego, fragment „Litani ku czci pt. Matrony Krakowskiej”. Utwór ten wykonywany w zielono-balonikowej szopce w 1908 r., miał kilka wersji, zmienianych w zależności od weny i humoru wykonawców. Jedną z nich, zapewne podczas wesołej zabawy kabaretowej, wsunięto do balonika niczym list rozbitka do butelki. I tak przez morze zapomnienia, wiersz po latach dotarł do nas.

Litania ku czci pt. Matrony Krakowskiej

Ty, co jak już mówić zaczniesz
Nie ustaniesz, nim sołennie
Nie przyzna ci każdy racji,
Tych wyjąwszy, kto się zdrzemnie.

O ty, polskiej enoty céro,
Świętość strzeżesz namiętnie
I sama chcesz być cenzura,
Choć ją krytykujesz chętnie.

Ty, co z nadętą powagą
Na piedestał się gramolisz.
Ze humoru nie masz za grosz
Innym śmiać się nie pozwalisz.

Ty, obrazie Polki prawej
Wzięty z rysunków Grottgera —
Z tego co masz za „postawę”
Zwyczajny kołtun wycziera.

Co rzekomo dla ojczyzny
Cierpi trud i niewygody
I, jak w tłuszcz, obrasta w błizny.
Napije się zimnej wody

Nim szparko chwycisz za pióro
By nim gromić tych nędzników,
Którzy się literatura
Bawia, miast jęczeć w kłęczniku.

Ty, dla której to jest wzorem,
Co ustalił w swej wyroczni,
Wszystko inne zaś jest chore.
Raz wreszcie w lamusie spoczni.

Co nam zostało z tych lat...

Oto fragmenty oświadczenia Spółdzielni Dziennikarskiej „Nowe Życie Literackie” (sic!) w Krakowie, które opublikowała „Depesza” nr 3/172, pod tytułem „Samowola Komisji Likwidacyjnej”:

„Istniejący od blisko 40 lat, zastąpiony dla polskiej kultury i edukacji narodowej tygodnik został potraktowany niczym doraźny biuletyn stanu wojennego. Skandalicznego posmaku dodaje fakt iż majątek redakcji (chodzi o „Życie Literackie” Władysława Machejka — red.), został bezprawnie rozsprzedany przez krakowskiego likwidatora (...) Krakowski likwidator posunął się tak daleko, że w komentarzu do swojej decyzji na łamach „Gazety Krakowskiej” (24. X.) uznał inicjatorów reaktywowania pisma za

„część zespołu, która pracowała w „Życiu” po stanie wojennym”, a więc ludzi o nieczystrych rękach, którym należy przeciwstawić „drugą część — wyrzuconą po 13 grudnia, która chce wespół z „Gazetą Krakowską” i Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich w Krakowie utworzyć nowy tygodnik”. Podział ten jest sztuczny i w sumie nieprawdziwy a nadto szkodliwy ze społecznego punktu widzenia (...). Chcieliśmy wydawać w Krakowie ogólnopolski tygodnik kulturalny, nawiązujący do najlepszych tradycji „Życia”. Uzyskałszy poparcie obu stowarzyszeń dziennikarskich, Stowarzyszenia Autorów Polskich i Ministerstwa Edukacji Narodowej. Tylko Stowarzyszenie Pisarzy Polskich odziedziczyło w Krakowie, bez poinformowania — o ile nam wiadomo — ogółu swoich członków o naszej propozycji współpracy w ukształtowaniu profilu oraz obsady personalnej redakcji, zachowało dys-

tans. W miejsce „Życia Literackiego” ukazał się więc dodatek do regionalnej „Gazety Krakowskiej” pt. „Dekada Literacka” finansowany z funduszu likwidowanej RSW Prasa, a więc ze środków, które mogłyby posłużyć uruchomieniu „Nowego Życia Literackiego”. To zdumiewające, że SPP w Krakowie do twarzy w barwach dawnego organu KW PZPR, a nie do twarzy w „Życiu Literackim”.

Można i tak, niech jednak opinia publiczna wie, kto demokrację i ustawy sejmowe przekształca w parodię i dlatego zamiast ogólnopolskiego tygodnika mamy lokalną wkładkę, której jakość szkoda komentować (...)

Dla ścisłości: „Dekada Literacka” ukazuje się z nami a st magazynu sobotniego „GK”. Likwidator do nas nie dopłacał.

Camera obscura

„O »Wiadomościach Literackich« i nie tylko — taki tytuł nosi wywiad Krzysztofa Lisowskiego ze Stefanią Kossowską („Dekada Literacka” nr 6). Z treści wynika, że chodzi tu o tygodnik wydawany w Londynie przez Mieczysława Grydzewskiego. Warto wiedzieć, że był on wprawdzie kontynuacją przedwojennych „Wiadomości Literackich”, ale miał tytuł krótszy — „Wiadomości”. (hm)

*

Leszek-Elektorowicz („Dekada Literacka” nr 6) wspomina o „świątecznych przedwojennych podręcznikach literatury polskiej Jana Balickiego i Stanisława Maykowskiego”. Podręczniki te („Mówią wieki”), rzeczywiście świetne, nie były podręcznikami literatury, lecz tylko czytankami obejmującymi przeważnie specjalnie zamówione utwory wybitnych pisarzy współczesnych (Boy, Parandowski, Wasylewski, Kossak-Szczucka i wielu innych). A poza tym Balicki miał na imię Juliusz. (hm)

*

Kilka błędów wkradło się do „Not o autorach” w antologii „Literatura współczesna

»złe obecna« w szkole” (Ossolineum 1990). Zmarły wiosną 1988 Józef Łobodowski figuruje tu wśród żywych (s. 326). O Jasienicy Pisze się, że w kwietniu 1968 roku został wydany ze Związku Literatów Polskich — był tak wniosek Zarządu Głównego do Sądu Koleżeńskiego, ale nie został zrealizowany. Jacek Trznadel nigdy nie studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Niektóre sformułowania są mylące: np. o Gombrowiczu czytamy, że w roku 1927 „wyjechał do Paryża, gdzie studiował filozofię i ekonomię. W sierpniu 1939 roku wyjechał do Argentyny”. Kto nie zna życiorysu Gombrowicza (a uczeń ma prawo go nie znać), mógłby pomyśleć, że między rokiem 1927 a 1939 autor „Ferdynurka” przebywał w Paryżu. (hm)

*

Kamyk do własnego ogródka. A nawet dwa kamyki. W pamięci naszego redakcyjnego komputera załagał się najwidoczniej złośliwy wirus, który historyka sztuki prof. Tadeusza Chrzanowskiego przerobił na „historyka literatury” („DL” nr 4), zaś powieściopisarzowi Januszowi Krasieńskiemu przypisał „tomiki poezji”, których jako żywo nie ma on na swym sumieniu, choć istotnie debiutował niegdyś wierszem w „Po prostu” („DL” nr 5). (le)

Andrzej Zaręba przedstawia:



Ks. prof. Józef Tischner

HYDE PARK czytelników

Dzisiaj Hyde Park gości pana MIKOŁAJA JAKIMCZUKA z Wołynia, Ukrainiec, nauczyciel ukraińskiego w Nowowohłyńsku, jest także wykładowcą języka polskiego na kursach dla dorosłych, więc i wiersze napisał po polsku. Otrzymał je dzięki uprzejmości p. Janusza Skrzydiewskiego z Krakowa.

Na wiecu

Byłem wczoraj na wiecu
i po raz pierwszy ujrzałem
nad tysięcznym tłumem
niebiesko-żółta barwę.

Widziałem lzy w oczach ludzi
u starych i młodych mężczyz
Na tysiącach twarzy
rozkwitła powoli szczęście.

Strzał

Jakieś ezarodziejskie kwiaty
mróz ciągle rysuje na szybach.
Za oknem styczniowy wiatr
ściąga śnieżynki z nieba.

Pod dachem lodowe sopłe
zwisają w dół bagnietami.
Nagle
trzasnął strzał nad zaspami.

Niepolitycznie o polityce

Dawniej straszylem moich ZACHODNICH PRZYJACIOŁ powiastką o łagierach i hodowcy truskawek, który litując się nad ich niedolą rzucał przez druty pojedyncze sztuki dla poratowania nieszczęśliwych, kiedy przyszedł jednak dzień wolności i MURY RUNEŁY, jak śpiewa poeta, a złodniała halastra też runęła na wypielegnowane grządki. Moi zachodni przyjaciele z wielką trudnością ukrywali, że im chrześcijańskie serduszko cierpieć na myśl o czymś podobnym. Jeszcze niedawno my byliśmy za drutami, oni mieli truskawki. Tymczasem jednak okazało się, że zawsze jest się bardziej na zachód od kogoś bardziej na wschód. I oto jesteśmy zachodnimi przyjaciółmi Litwinów, Łotyszów, Białorusinów, Ukraińców, Rosjan, Rumunów... Zaś nasze chrześcijańskie serduszka co o to?

Jan Prokop

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Gazeta Krakowska”. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Ewa Lipska, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Waclaw Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska